

Chotnicka

P I I S M O P. S. K.

Rok IV

Czerwiec 1946 r.

Nr 6 (33)



W SPRAWIE DEMOBILIZACJI POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH ZA GRANICĄ

ORĘDZIE PREZYDENTA R. P.

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych!

W ciągu długich lat najstraszliwszej wojny jaką zna historia, do niezapomnianych zwycięstw oręża polskiego dołączyły nowe. Udział w bitwie o W. Brytanię i w obronie Tobruku, zdobycie Monte Cassino, Ancony, Bolonii, bitwę pod Falaise, zdobycie Bredy i inne. Polski Naród złożył w tej wojnie na ołtarzu wolności największe ofiary i swą samotną, tak bohaterską choć beznadziejną walką z nawałą niemiecką w r. 1939 umożliwił ocalenie nieprzygotowanego do napaści świata od niemieckiego panowania. Zwyciężony lecz niepokonany Polski Naród nie złożył w kraju broni podczas kampanii wrześniowej i przez cały czas wojny Armia Krajowa prowadziła walkę ponad ludzkie siły z przemocą najeźdźcy. Ofiarny stos spalonej Warszawy przejść musi do historii. Toteż walki żołnierza, marynarza i lotnika Polskiego żyć będą w pamięci Narodu i z dumą wspominać ją będą przyszłe pokolenia, bo dobrze zasłużyliście się Ojczyźnie.

Było pragnieniem Waszym i całego Narodu, którego jesteście dumą i umiłowaniem, byście mogli w zwartych szeregach pod sztandarami Waszymi okrytymi sławą powrócić do Wolnej, Całej i Niepodległej Polski. Nie ziszcilo się jeszcze to pragnienie pomimo, że daliście z siebie wszystko co dać mogły miłość Ojczyzny, honor i męstwo żołnierza. Żaden naród nie wie lepiej od Polaków, że o wyniku walki decyduje nie oręż tylko, ale i moc ducha. Tą bronią niejednokrotnie musieli walczyć Polacy i zwyciężali.

Pomimo, że nad umęczonym światem ucichł obecnie zgiełk bitew, huk dział i bojowego lotnictwa, wy pozostajecie nadal żołnierzami Rzeczypospolitej walczącymi o Nią Mocą Ducha Polskiego. Jeżeli moc tą utrzymacie w sercach Waszych, przyszłość będzie Wasza, bo żadne siły ludzkie mocy tej przewyciężyć nie zdołały dotychczas i nie zdołają nigdy. Wasza służba nie skończyła się. Bez względu na narzucone przez okoliczności ramy organizacyjne, nosząc w duszy nakazy przysięgi żołnierskiej pozostaniecie im wierni. Zachowanie ducha braterskiej jedności, zawartości moralnej i karności wewnętrznej, który cechował Was w Waszej dotychczasowej żołnierskiej służbie. Z ufnością będziecie się stosować do wskazań Waszych Dowódców. Nie złamię Was przeciwności. Postawa Wasza będzie godna Synów Naszego Bohaterskiego Narodu. Wobec obcych, gdziekolwiek los Was powiedzie, będziecie tak postępować, by Polsce szacunek przysporzyć. Zadzierżgnięte we wspólnych walkach węzły braterstwa broni i przyjaźni z narodami sojuszniczymi będziecie się starać zachować i umocnić.

Z równie serdeczną troską zwracam się do Was polscy żołnierze z kampanii wrześniowej i bohaterskiej Armii Krajowej, którym nie było dane stanąć ponownie w szeregach bratnich, a którzy trwacie w trudniejszych warunkach niż inni. Stwierdzam, że jesteście nieodłączną częścią Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej, że należą się Wam ze strony sprzymierzonych te same uprawnienia i życzliwa opieka, co żołnierzom Sił Zbrojnych na obczyźnie.

Żołnierze, marynarze, lotnicy!

Utrzymajcie niezłomną wiarę w przyszłość, a doczekacie się chwili, gdy Bóg nagrodzi Wasze ofiary, gdy sprawiedliwość zwycięży i z wolnym Narodem będzie święcić triumf zwycięstwa na ziemi ojczystej.

Londyn, 24 maja, 1946 r.

(-) Władysław Raczkiewicz

OŚWIADCZENIE RZĄDU R. P.

Oświadczenie Bevina z 22 maja stanowi początek realizacji decyzji brytyjskiego rządu z 2 marca w sprawie rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. Przeciwno tej decyzji rząd polski złożył uroczysty protest. W ciągu 6 lat wojny Polska prowadziła walkę przy użyciu wszystkich swoich sił w Kraju i na obczyźnie, związana z W. Brytanią sojuszem, którego zobowiązania dopełniała z największym poświęceniem. Nawet wtedy, gdy sprzymierzeńcy nasi na konferencji w Teheranie i w Jałcie godzili się na oddanie połowy Polski Związkowi Sowieckiemu oraz na narzucenie jej rządowi będącego wyrazem obcej przemoc, naród polski wytrwał w walce zarówno w Kraju jak i na obczyźnie, składając wciąż olbrzymie ofiary krwi i

mienia dla wspólnej sprawy sprzymierzonych. Nawet wtedy, gdy było już jawne, że Związek Sowiecki zmierza do zawładnięcia całą Polską, naród polski, wierny swym soюзom, podjął z bezprzykładowym w dziejach poświęceniem działania wojenne: Armia Krajowa, — ciężkie boje na Wołyniu, na Wileńszczyźnie, w województwach centralnych, aż do niezrównanego w ofierze Powstania Warszawskiego. Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie walczyły do końca wojny w ofiarnej służbie R.P. i w ścisłym braterstwie broni z siłami zbrojnymi W. Brytanii i za wspólną sprawę Zjednoczonych Narodów. Wiele tysięcy Polaków poległo w bojach, wiele tysięcy doznało kalectwa. Żołnierze polscy postawili swoją po dzień dzisiejszy zasłużyli

sobie na szacunek Narodu Brytyjskiego oraz innych narodów sprzymierzonych. Mieli oni prawo oczekiwać, że w wyniku zwycięstwa powrócą ze swymi dowódcami na czele, ze sztandarami i bronią do Polski wolnej i niepodległej. Obecne decyzje grożą odebraniem im możliwości takiego powrotu do Ojczyzny. Przychodzą one w chwili, gdy w Polsce rząd tymczasowy, łamiąc przyjęte zobowiązania w sprawie wolnych i nieskrępowanych wyborów, odsuwa je w przyszłość nieokreśloną, a gwałtem postrachem odbiera Narodowi Polakom wszelką możliwość swobodnego życia politycznego. Długu wobec Polski i jej Sił Zbrojnych, ciężącego na jej sprzymierzonych nie zdoła wyrównać życzliwa opieka brytyjska nad żołnierzami

polakami przemienionymi w wygnańców. Polska musi być wolna. Wtedy tylko mogliby do niej powrócić ze świadomością wypełnionego obowiązku i osiągniętego celu siedmioletniej walki i poświęceń. Decyzja rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych uderza w pierwszym rzędzie w bohaterski 2. Korpus we Włoszech. Korpus ten, który pod dowództwem gen. Andersa zdobył Monte Cassino oraz Anconę, przełamał linię Gotów i wkroczył zwycięsko do Bolonii, pierwszy ma przestać istnieć. Ma to szczególnie tragiczną wymowę. Rząd Polski jest przekonany, że wyraża uczucia Narodu oświadczając, że Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie dobrze zasłużyły się Polsce we wspólnej

sprawie Narodów Zjednoczonych, że nigdy nie przestaną żyć w sercach Polaków.

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, bez względu na narzucone im warunki, nie przestaną być żołnierzami R.P. a prawa i obowiązki ich, stąd wynikające, są nie naruszalne. Wyzwoleni z niewoli żołnierze Wojsk Polskich z kampanii wrześniowej oraz żołnierze Armii Krajowej byli i są pełnoprawnymi członkami Polskich Sił Zbrojnych. Rząd Polski nie przestanie domagać się należnego im, sprawiedliwego i godnego traktowania przez sprzymierzonych, na równi z żołnierzami Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. Żołnierze Polskich Sił

Zbrojnych są nadal wierni przysiędze, która każe im bronić Ojczyzny, jej całości i niepodległości, w posłuszeństwie Prezydentowi R.P., swoim legalnym zwierzchnikom oraz prawom. Rząd Polski wie, że zawsze i we wszystkich okolicznościach wytrwają oni w żołnierskiej wierności, w której od 7 lat trwają dotąd. Naród Polski, który tyle już ciosów zniósł z niezłomną wolą wytrwania, zespoli się w tej ciężkiej chwili tym silniej przy sztandarze R.P. wolnej, całej i niepodległej, z wiarą w zwycięstwo sprawy, która nierozdzielnie jest związana z wolnością Narodu i trwałym pokojem świata.

Londyn, 24 maja, 1946 r.

ROZKAZ DOWÓDCY 2. KORPUSU GEN. DYW. WŁADYSŁAWA ANDERSA

Żołnierze 2. Korpusu!

2. Korpus staje obecnie wobec rzeczywistości szczególnie ciężkiej i bolesnej dla żołnierzy, reprezentujących wolny Naród Polski w jego tragicznej, a dziś odosobnionej walce o swoją niepodległość.

Sztandary nasze są okryte chwałą zwycięskich bitew, w których tak dumnie świadczyły o prawie Polski do wolności, całości i suwerenności.

W blisko siedmioletnim okresie naszego nieprzerwanego marszu żołnierskiego musieliśmy łamać nie tylko szeregi wroga, ale i kryzysy wynikające z międzynarodowych przetargów politycznych, w których płacono Polską.

Dzisiaj znajdujemy się znowu w obliczu głębokiego kryzysu. Musimy go przetrwać i przewyciężyć, aby nie stracić celu, jaki postawił sobie Naród Polski.

Oto — jak już wiecie — Minister Bevin, zgodnie z zapowiedzią Rządu Brytyjskiego z 20 marca br., oświadczył w dniu 22 maja 1946 r. w Izbie Gmin, że rozpocznie się demobilizacja Polskich Sił Zbrojnych, a przede wszystkim naszego 2. Korpusu.

Rzeczą moją, waszego dowódcy, nie jest i nie może być łagodzenie twardego znaczenia tej decyzji. Demobilizacja znaczy bowiem, że w miarę stopniowego wykonywania zarządzeń brytyjskich, zbliża się chwila, gdy 2. Korpus ma być, jako całość bojowa, rozwiązany. Dotyczyć ma to również innych części Polskich Sił Zbrojnych lądowych, morskich i powietrznych. Decyzje te zapadają po sześciu latach walk ramię przy ramieniu, w braterstwie broni, krwi i ofiary z siłami innych zachod-

nich narodów zjednoczonych. Zapadają zaś one w okresie, w którym Polska nie odzyskała jeszcze wolności. A przecież walczyliśmy o to, aby Ojczyzna nasza była wolna i suwerenna, aby Naród Polski był jego gospodarzem, a odbudowanie takiej Polski przyrzekali nam we wszystkich najcięższych nawet chwilach wojny nasi sojusznicy, związani z nami ścisłymi traktatami przymierza.

Pierwsza faza planu demobilizacyjnego polega na tym, że mamy opuścić Włochy w przeddzień oczekiwanego zawarcia pokoju między państwami sprzymierzonymi a tym krajem. Przeszliśmy go niemal cały od południa na północ w twardej walce z Niemcami, wierni naszemu historycznemu hasłu „Za Naszą i Waszą Wolność”. Przyjaźń Narodu Polskiego z Narodem Włoskim, trwająca od wieków, została przez tę naszą walkę na ziemi włoskiej jeszcze bardziej zacieśniona. Na naszym szlaku bojowym od MONTÉ CASSINO poprzez ANCONĘ po BOLONIĘ odnowiliśmy braterstwo broni z wojskiem włoskim.

Nie zginie też nigdy w sercach polskich wspomnienie, że walczyliśmy pod okiem stolicy Apostolskiej, także o Jej wyswobodzenie.

Idziemy do W. Brytanii. Otrzymaliśmy zapewnienie, że rodziny nasze z terenu Włoch i z innych krajów Europy Zachodniej, oraz ze Środkowego Wschodu znajdą się tam razem z nami. Otrzymaliśmy również zapewnienie połączenia żołnierzy z ich rodzinami znajdującymi się na terenie Afryki, Indii, Meksyka itp.

W W. Brytanii — razem z innymi członkami Polskich Sił Zbrojnych — wejść mamy, wszyscy razem w polskich

mundurach, ze swymi stopniami żołnierskimi i swoimi dowódcami, w skład nowej przez Brytyjczyków tworzonej organizacji pod nazwą: „Polski Korpus Przystosobienia”. Zadaniem tego Korpusu będzie przygotowanie żołnierzy, lotników i marynarzy polskich do pracy w nowych zawodach oraz rozmieszczenie ich przy warsztatach pracy cywilnej na Wyspach Brytyjskich oraz w krajach zamorskich. Na najbliższy okres szeregi Polskiego Korpusu Przystosobienia mają więc stać się ramami organizacyjnymi, które żołnierz polski wypełni żywą treścią swych myśli, swej woli i swego wysiłku.

Jako wasz dowódca odpowiedzialny wobec Narodu Polskiego, wobec historii oraz wobec was, którzy oddaliście mi swoje serca żołnierskie i zaufanie — ważyłem głęboko, jak mi postąpić należy w tym nowym przełomowym etapie naszej walki. Dokładny rachunek sumienia i realna ocena sytuacji politycznej, w jakiej znalazł się Naród Polski a z nim i my, jako żołnierze — każy mi przyjąć tę tak ciężką dla nas i jednostronną decyzję Rządu Brytyjskiego.

Pójdziemy z ziemi włoskiej poprzez ziemię brytyjską — a jutro niewiadomo poprzez jaką szlak — do Polski prawdziwej, której żadne serce polskie nie wyobraża sobie bez LWOWA i WILNA. Z drogi tej, która jest drogą historyczną, nie zejdziemy.

Nasza służba nie kończy się, nasz pochód do Polski Wolnej, Całej i Niepodległej trwa!

DOWÓDCA 2. KORPUSU
(-) ANDERS
Gen. Dyw.



Nabożeństwo żałobne na cmentarzu Monte Cassino

DEKLARACJA ŻOŁNIERZY 2. KORPUSU

W powadze i skupieniu obchodzono dnia 15 b.m. „Dzień Żołnierza 2 Korpusu”.

We wszystkich oddziałach naszych, stacjonowanych we Włoszech odprawione zostały o godz. 9-tej rano przez kapelanów wojskowych polowe Msze Święte, na które przybyli dowódcy Wielkich Jednostek, wyżsi oficerowie oraz oddziały pod bronią ze sztandarami i proporcami pułkowymi.

Po Mszy Świętej odprawiono modły za pomyślność Rzeczypospolitej i Jej Prezydenta.

Gdy ukończono ceremonie religijne, do zgromadzonych w ordynku wokół trybun żołnierzy przemówili przez megafony dowódcy oddziałów, odczytując następującą deklarację:

Nastąpiła chwila kiedy my, żołnierze walczący od siedmiu lat o niepodległość Polski i lepsze jutro świata, stwierdzamy:

1. Decyzją naszych sojuszników, z którymi przez cały ten czas ramię w ramię krwieliśmy się za wspólną sprawę wolności — suwerenne Siły Zbrojne Polski mają ulec demobilizacji.

2. Następuje to w chwili, kiedy Naród Polski nie odzyskał jeszcze wolności, o którą pierwszy rozpoczął walkę w 1939 roku przeciwko koalicji dwóch totalizmów: Hitlerowskich Niemiec i sowieckiej Rosji.

3. Cały świat wie, że Polska znajduje się pod najcięższą okupacją sowiecką. Cały świat zdaje sobie dzisiaj sprawę, że Polska rządzona jest dzisiaj przez posłusznych służalców Moskwy, nie mających nic wspólnego z Narodem Polskim.

4. Naród Polski walczył cały czas bez przerwy o wolność i poniósł największe w świecie straty, bo 13,6% swej ludności, podczas gdy np. Rosja poniosła w tej wojnie tylko 3,7% a Francja 2% strat. Armia Krajowa w Polsce była najliczniejszą ze wszystkich organizacji podziemnych świata i zadała największe straty Niemcom. — Bohaterskie Powstanie Warszawskie pozostanie na zawsze symbolem nieugiętości ducha polskiego oraz świadectwem wyrachowanej perfidii Kremła. — Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie walczyły bez przerwy u boku aliantów zachodnich. — Lotnicy nasi złożyli olbrzymie ofiary w Bitwie o Anglię i na kontynencie. Marynarze nasi ginęli na wszystkich morzach świata. Wojska lądowe biły się we Francji i pod Narvikiem, w Tobruku, Falaise i Arnhem, a nasz 2. Korpus przemierzył w marszu żołnierskim bez mała całą Italię od południa do północy. Będą mowy o tym przyszłym pokoleniom nasze cmentarze Casa Massima, Monte Cassino, Loreto i Bolonia.

Mamy najgłębsze przeświadczenie, żeśmy w najcięższych dla naszych aliantów chwilach dechowali im lojalności.

5. A jednak mimo to, w dniu „V Day”, świętowanym przez Wielką Brytanię 8 czerwca br., wśród żołnierzy wielu narodów, którzy brali udział w tej uroczystości, brakło żołnierza polskiego, wiernego współtowarzysza broni ze wspólnych pól bitewnych. Jedyni zaproszeni na tę uroczystość lotnicy polscy — odmówili udziału, rozumiejąc, że nie mogą być obecni tam, gdzie nie ma marynarza polskiego i żołnierza spod Monte Cassino.

6. Nie jest to „V Day” polski, bo Polska jest jeszcze w niewoli. Nie jest to „V Day” świata, bo cała Europa Środkowa ze 127 milionami ludności jest za żelazną kurtyną rządów sowieckich. Stamtąd idzie groźba dla cywilizacji chrześcijańskiej, kultury europejskiej, dla wolności narodów i człowieka. Stamtąd idzie najstraszliwsza reakcja i totalizm przeciwko demokracji.

Jeżeli nie ma nastąpić zagłada świata, wierzymy, że nastąpi „V Day” dla wszystkich, prawdziwe braterstwo narodów i pokój ludzi dobrej woli. Musi triumfować wolny człowiek pracy.

7. Cele wojny nie zostały osiągnięte. Polski wolnej nie ma i dlatego nie przestaniemy walczyć nadal o nasze słusze prawa.

Jesteśmy żołnierzami wiernymi przysiędze żołnierskiej i nikt poza Prezydentem R. P. i legalnym Rządem Polskim w Londynie nie jest powołany do wskazywania nam, gdzie jest nasze miejsce, aby wykonać nasz żołnierski obowiązek.

8. Jesteśmy związani tysiącletnią tradycją z kulturą Zachodu i tak, jak cały Naród Polski, nie chcemy dać się wtłoczyć w obcą i wrogą nam orbitę. Dlatego też zostajemy wierni nadal naszym sojusznikom. Zostaniemy przy nich nawet wbrew ich chwilowej woli, gdyż wierzymy, że prawdziwa wolność narodów i człowieka będzie osiągnięta przez zwycięstwo prawdy nad fałszem i kultury chrześcijańskiej nad barbarzyństwem.

9. Jesteśmy częścią Narodu Polskiego, który w osamotnieniu, całością swych sił w Kraju i za granicą nadal prowadzi walkę o swoje prawo do niepodległego bytu.

W walce tej nie ma wśród nas więcej lub mniej zasłużonych. Wszyscy jesteśmy równi: nasi koledzy z Kampanii Wrześniowej 1939 roku, żołnierze Armii Krajowej, rzesza wygnańców polskich i my, którzy walczyliśmy pod dowództwem brytyjskim i amerykańskim. Dlatego też żądamy utrzymania pełni praw kombatanckich, tak ofiarnie zasłużonych dla naszych kolegów z września 1939 i z Armii Krajowej. Nie przestaniemy dopominać się o prawa dla ludności cywilnej polskiej, która w obecnych warunkach dziś jeszcze nie może powrócić do Kraju, a która nie jest traktowana zgodnie z pojęciem sojuszu i przyjaźni.

10. Jako Wojsko Suwerennej R. P., wierne przysiędze żołnierskiej, składamy dzisiaj wobec Boga, naszych sztandarów wojskowych oraz grobów naszych poległych kolegów następujące ślubowanie:

„Zespoleni z dążeniami całego Narodu, tak w Kraju, jak i na obczyźnie, ślubujemy trwać nadal w walce o wolność Polski, bez względu na warunki, w których przyjdzie nam żyć i działać”.

W imieniu żołnierzy 2. Korpusu

Italia, dnia 15 czerwca 1946.

(—) ANDERS
Gen. Dyw.

Z kolei nastąpił uroczysty akt ślubowania. Okrzyki na cześć Rzeczypospolitej, Jej Prezydenta oraz wspólne odśpiewanie „Jeszcze Polska nie zginęła” zakończyły podniosłe manifestacje.

Równocześnie na cmentarzach polskich w Italii a więc: Monte Cassino, Loreto, Piratello (gdzie spoczywają żołnierze nasi do czasu ukończenia cmentarza pod Bolonią) oraz Casa Massima odbyły się uroczyste Msze Żałobne za spokój dusz poległych w kampanii włoskiej żołnierzy 2. Korpusu, gdzie delegacje oddziałów złożyły również ślubowanie.

Na cmentarzu w Loreto obecny był Dowódca 2. Korpusu gen. Władysław Anders w towarzystwie wyższych oficerów.

Tegoż dnia odbyły się żałobne nabożeństwa za poległych żołnierzy innych wyznań.

WOBEC NOWEJ RZECZYWISTOŚCI

Zło i niesprawiedliwość przeżywa się tym ciężiej, im głębsza jest świadomość do końca dobrze spełnionego obowiązku.

W ciągu tych prawie już siedmiu lat, wypełnionych na przemian zapałem, zwycięstwami i klęskami, ufnością i rozczarowaniem — nie chcieliśmy przesądzać sprawy, wierząc, że nie rozstrzygną jej nawet najbardziej konkretne, a dla nas niekorzystne fakty. Może kiedyś zrobią nam zarzut, że byliśmy łatwowierni i naiwni, że byliśmy romantyczni, ciągle jeszcze romantyczni w tym świecie twardych interesów, tchórzliwych dostosowań się, niegodnych targów na rzecz bezgranicznych egoizmów. I może historia, mając suche fakty do dyspozycji, potępi nas za to, że „nie umieliśmy”, że „nie potrafiliśmy” ani

zdyskontować naszych wspaniałych sukcesów wojennych, ani politycznie wykorzystać posiadanych atutów.

Rozważając to, co się stało i to, do czego doszło, poczuwamy się do odpowiadania przed ową historią, która wiedzialności przed ową historią, która surowo i bezstronnie będzie oceniać nasze postępowanie. Jest jednak tak, że nigdy współcześni nie są w posiadaniu wszystkich elementów sprawy. Wiedząc, zdaliśmy sobie sprawę, że błędzimy po wąłoby wśród zatajań: nieujawnionych omacku wśród zatajań: nieujawnionych nych tekstów. Dostępny nam materiał historyczny jest więc niepełny. Nawet czytając między wierszami, nie doczytujemy się istotnej prawdy — zamierzamy Dlatego też uderzają w nas fakty już

dokonane, i dlatego tak często bywamy mądrzy po szkodzie.

Pytanie, które dziś formułujemy, brzmi: — Czy było błędem politycznym, że tak prostolinijnie zaufaliśmy naszym sprzymierzeńcom? — Zwracamy się z tym pytaniem do siebie samych, skoro osamotnieni jesteśmy w świecie, który zgodził się na to, co się stało. Po chwili rozgoryczonego zastanowienia, odpowiemy sobie raz jeszcze tak samo, jak przez te wszystkie lata, że musieliśmy tak czynić, jak czyniliśmy. Nie znaczy to jednak, że ta nasza prostolinijność polityczna nie podlega krytyce. Owszem — zasługuje na nią, gdyż niejednokrotnie przyjmowaliśmy fakty i słowa bez zastrzeżeń i byliśmy zbyt ulegli.

objęła rejony najbardziej przez wojnę zniszczone. Mimo to Niemcy nie są z Anglików zadowoleni bo „Tommy nie dają im wolnej ręki”. Cieszą się więc z wewnętrznych trudności brytyjskich: „Anglia zbiedniała, jest zadłużona i całkowicie zależna od Ameryki”.

Rosjan boją się — nie nienawidzą — Niemcy najbardziej spośród wszystkich wojsk okupacyjnych. Z wielką troską myślą o czterech milionach swoich żołnierzy, którzy jako jeńcy pracują w Rosji. „Podczas gdy w Anglii, a zwłaszcza w Ameryce panuje chaos i strajki, Rosja pracuje całą parą, wspomagana przez miliony niewolników. Z adnych strajków ani odpoczynku nie zna świat Stalina”.

Obserwacje powyższe, jakkolwiek pobieżne, nie wskazują ażeby w Niemczech istniała atmosfera, w której mogłaby dojrzeć świadomość odpowiedzialności narodu za wojnę. Nie ma tam też śladu woli odkupienia win czy odrodzenia, które gwarantowałyby bezpieczeństwo choćby częściowego współudziału narodu niemieckiego w załatwieniu problemu Rzeszy. W takiej sytuacji uzdrowienie i demokratyzacja powinny przyjść z zewnątrz, co — przy przystoiwym prusactwie niemieckim, uwielbieniu mechanicznej dyscypliny i siły oraz swoim zrozumeniu demokracji, jako zdolności przystosowywania się do potencji w danym momencie panujących — musi doprowadzić do niebezpieczeństwa wygrzywania przez Niemców w rozbieżności i przeciwieństwach wśród zwycięzców. Wyrazem zrozumienia swojej roli, jako potencjalnej narazie siły, o którą zabiegają zwycięzcy, jest niemiecka polityka gry na dwie strony: w okupacji aliantów zachodnich — dogadywanie się „demokratów”, w strefie sowieckiej — przystosowywanie się choć z wielkim hałasem, do form komunistycznych, przy jedno-

czesnym podnoszeniu tu i tam — językiem socjaldemokratów Schumachera czy komunisty Piecka — coraz głośniejszych żądań niepodzielności i suwerenności Rzeszy. Stare hasła rewizjonistyczne stają się tym bardziej niebezpieczne, że stoi za nimi Moskwa, która pierwsza w swojej strefie dopuściła do ich zaktualizowania. Moskwa jest w tej chwili czynnikiem siły ekspansywnej wśród zwycięzców. Niemcy uwielbiają się. Pojedynek brytyjsko-sowiecki, mający — wg. Lippmana — na celu zabezpieczenie podstaw wyjściowych w ewent. konflikcie, Moskwa wykorzystuje dla usztywnienia Niemiec, ofiarowując im hojnie wszystko to, co przez wojnę stracili. Czyżby istotnie nieskoordynowana polityka mocarstw zachodnich miała doprowadzić do tego, że Niemcy, powalone w wojnie, wzięłyby odwet za klęskę, rzucając się w objęcia czerwonego totalizmu?

Tendencje Rosji w tym względzie są niedwuznaczne. Prasa sowiecka jest wyraźnie niezadowolona z polityki okupacyjnej aliantów. Niemcy np. według „Prawdy” — marzą o wspólnym frontie robotniczym, do którego pod naciskiem i przewodztwem komunistów doszło, jak wiadomo, pod okupacją rosyjską. O przyczynach, które tutaj stworzenie tego frontu uniemożliwiają, mówi korespondent „Prawdy” przy okazji ataku na Schumachera. „Nazywa on siebie przewodcą socjal-demokratów — zwierza się korespondentowi jeden z robotników niemieckich w Monachium — ale w rzeczywistości jest całkiem obcy interesom partii. A w tym czasie, gdy podróżuje i wygłasza swoje odczyty — faszyści prowadzą w dalszym ciągu swoją robotę podziemną”. Schumacher jest jednak nie tylko zawadą — zdaniem korespondenta sowieckiego — na drodze do jedności niemieckiego frontu robotniczego, ale też — denuncjatorem. Jego to rzekomo „donos” spowodował, że 92 Ro-

sjan, próbujących swego czasu uciec z Dachau, zostało wymordowanych. Obecnie „pan ten prowa- dzi otwartą propagandę”. Podobnie, jak kler: „We wszystkich kościołach odczytane zostały listy pasterskie przeciwko komunistom wszystkich krajów, a zwłaszcza w Z.S.R.R.”. Obserwatorzy sowieccy, występujący w roli mentorów, podkreślają wymownie, że „wiele jeszcze należy uczynić, ażeby — jak chcą „Izwestia” — duch demokracji ostatecznie zatriumfował nad faszysmem”.

Zabrnięliśmy — wydaje się — w jakąś uliczkę totalnego zakłamania, bo któż to, jak nie imperialista, sta sowiecki wzdycha za „duchem demokracji”, pouczając Amerykanów, jak w niej mają wychowywać Niemców! Jak prasłowiański Światowid, demokracja zaczyna mieć różne twarze. Wzywający jej imienia mają więc przed oczyma różne jej oblicza. Prasie sowieckiej widzi się azjatycka twarz totalnego komunizmu sięgającego po panowanie nad resztą naszego kontynentu. Drogę do tej „reszty” zagradzają alianckie strefy okupacyjne. Alianci jednak — zdaniem Moskwy — nie znajdują się na demokracji. Przyglądają się innej twarzy Światowida. Demokracja sowiecka będzie napewno Niemcom odpowiadała, bo cenią oni siłę. Sowiecka demokracja — uszczęśliwi Niemcy...

Bądźmy szczerzy: Nie chodzi nam wcale o Niemcy. Niechby spróbowały panowania tej siły, z którą się początkowo sprzyśgły i którą wyzwoliły. Chodzi o Polskę. Każdy sowiecki krok w głąb Europy oddziela Polskę coraz grubszą, masywniejszą ścianą od świata. Polska się dusi w żelaznym uścisku totalizmu sowieckiego. Jego narastanie w Europie, to zwiększenie ciężaru przytaczającego Polskę. Rosja ś wiadomie gra na Niemcy. Gotowa jest zapłacić Niemcom wysoką cenę.

„Niemieccy komuniści — według „New York Times” — zapewniają, że jest wola Z.S.R.R. zwrócić Niemcom wszystkich terytoriów, przyznanych niedawno Polsce, jeżeli Niemcy staną po stronie Rosji”.

A Walter Lippman dodaje:

„Niemieccy komuniści, którzy są czyściej więcej aniżeli nacjonalistami niemieccy, twierdzą otwarcie, że sowieckie Niemcy Związku Sowieckiego w podzielią się polską między sobą”.

Czerwony totalizm przygotowuje nowy rozbiór Rzeczypospolitej!

Któryż to z kolei?

M. MIZ

WIELKIE NIEPOROZUMIENIE

(Na marginesie procesu norymberskiego)

O procesie norymberskim pisze się dużo. Wszystko jest ciekawe. Nieomal każdy szczegół kryje w sobie niebezpieczeństwo — sensacji. Bo jakże nie pisać o zbrodniarzach, o ich wyglądzie, o tym co prawdopodobnie myślą, jakich doznają uczuć?

W salach, przeznaczonych dla dziennikarzy, wre praca. Stukają maszyny. Świetnie zorganizowana poczta, kable telefoniczne — rozsyłają stale na wszystkie strony wiadomości. Jeśli chodzi o przebieg procesu, to opinia świata jest sprawnie informowana.

A równocześnie w sali sądowej — proces toczy się. Jest to określenie — moim zdaniem — jaknajbardziej trafne. Akt oskarżenia, odczytywany głosem równym, tonem urzędowym, obojętnym — ma w sobie coś, co przypomina pracę walca, miażdżącego konstrukcję systemu opartego na zbrodni. Kruszą się założenia ideologiczne hitlerizmu.

To jest pierwsze wrażenie. Potem dopiero zjawiają się refleksje. Zanim zaczęłam pisać o nich, wrócić jeszcze na salę — do roli obserwatora.

118-ta sesja sądowa poświęcona była zbrodniom, jakich dopuścili się Niemcy, a ściślej mówiąc armia niemiecka, oraz ekspedycyjne SS i Gestapo — na terenach rosyjskich i polskich. W ramach tego oskarżenia znalazły się więc również obozy koncentracyjne w Majdanku i Oświęcimiu. Dużo cyfr. Cytaty, odsyłacze. Dowody, odpisy raportów i znowu cyfry i daty. Gdyby nie treść, miałyby się wrażenie, że przypadkowo znaleźliśmy się na jakimś długim, nudnym nieco — posiedzeniu komisji budżetowej. Referent stale powołuje się na jakieś dokumenty, objęte numerami, cyframi, co chwilę podaje stronicie załączników. Cyfry: to ludzie, którzy zostali rozstrzelani, otruci gazami, zamordowani głodem. Pozycje: to miejscowości, w których dokonano tych zbrodni. Sucha statystyka śmierci.

119-ta sesja — to dalszy ciąg tego samego „referatu”. Zjawia się natomiast nowy moment: przemysł. Potworny, niewiarygodny, makabryczny przemysł! Fabryka mydła — oparta na „surowcach”, wytapianych z trupów. Fabryka skóry, którą otrzymywano... z człowieka. W czasie przemówienia prokuratora, zjawiają się na tablicy rozpięte płyty skóry, które ilustrują różne stadia produkcji. Jeśli ktoś lubi sensacje — to w czasie tej sesji miał ich pod dostatkiem.

A potem film. Technicznie określiłbym go jako niemy. Setki tysięcy trupów. Rozstrzelani na ulicach ludzie tworzą zwały ciał. Za chwilę na wpoł zwęglone szeregi jakichś ułożonych kształtów... To także ludzie. Pomordowani. Rozkopane groby — i znowu dziecięta, setki trupów. — Śnieg. Dużo śniegu. Wśród zasp majaczą się twarze, ręce i nogi pomordowanych. Wszystko przeraźliwie prawdziwe. L... niewiarygodne!

Majdanek. Piece krematoryjne. Całe piramidy niedopalonych kości. Komory

gazowe. Jakież skomplikowane urządzenia techniczne. Magazyny ubrań, szczotek, pędzli do golenia, i... zabawek dziecięcych. Wszystko to ilustrować ma „uboczny dochód”, jaki dla narodu niemieckiego, odrzucały obozy koncentracyjne. — Magazyny włosów kobiecych, które używane były na... materace. Słowem — ludzkie włosie.

Jednej sceny nie zapomnę. Uwolnieni więźniowie opuszczają obóz w Oświęcimiu. Idą w szeregach, w pasiastych więziennych ubraniach — dzieci! Cztero, sześć, ośmioletni więźniowie!! Wymizerowane, chude twarzyczki o bystrych nerwowych oczach — przerażonych królików doświadczałnych. Bo taką rolę odgrywały w laboratoriach obozowych. Idą szybko Spieszą się. I znowu odgrywają jakąś rolę... Są potrzebne. Wiedzą o tym. Nerwowo rozglądają się i... defilują przed aparatem fo-to-gra-ficz-ny-m.

Film niemy. Czasem tylko komentator objaśnia obraz w języku rosyjskim. W tych momentach film staje się... dźwiękowcem.

Opuszczam gmach sądu. Jestem odurzony. Wszystko, co widziałem, na co patrzyłem jest jakieś lepkie, przepojone odorem trupim. Już na ulicy zjawia się w pamięci jeszcze jedna scena:

Opuszczony w popłochu przez Gestapo budynek, w którym przeprowadzano śledztwo. Pod ścianą, w kałużach krwi walają się ludzkie ręce. Odrąbano je w przegubach. Te porzucone „ludzkie rękawice”, leżą pod ścianą i świadczy, że tu, w tym miejscu toczyło się śledztwo. Tu, pod tą ścianą, składano zeznania i przyznawano się do popełnionych — a może niepopołnionych zbrodni...

To wszystko, co widziałem — to prawda. Akt oskarżenia jest przekonujący. Wszystko dokonało się. Prawda jest, że ludzie byli mordowani, ka-

towani, głodzeni i że setki tysięcy i miliony ludzi umarło dla... — właśnie, dlaczego umarli?

Na to pytanie nie potrafię narazie odpowiedzieć. W tym wszystkim kryje się jakaś zagadka. W samym procesie — mam odwagę to powiedzieć — tkwi jakieś głębokie nieporozumienie.

W jednopłaszczyznowym ujęciu — sprawa jest prosta. Hitler i jego pomocnicy, którzy obecnie znaleźli się na ławie oskarżonych, to duchowi inicjatorzy — tych ponad ludzkie zrozumienie — zbrodni. To jasne. Wiem, że nie chodzi tutaj o przeprowadzenie zwykłego procesu sądowego. Na ławie oskarżonych siedzi nieomal cały naród niemiecki, który jest współodpowiedzialny za śmierć milionów ludzi, za Ka-Cety, za metody Gestapo, za setki tysięcy ujawnionych i nieujawnionych zbrodni. Rozumiem to, ale, doprawdy, nie o to mi teraz chodzi. Wiem, że proces ma się stać oskarżeniem, ma zadanie profilaktyczne, ma rozładować jakiś kompleks zbrodniczości, tkwiący gdzieś w podświadomości ludzi i narodów. Rozumiem... a mimo wszystko, raz jeszcze powtarzam — w procesie norymberskim kryje się jakieś głębokie nieporozumienie. To uczucie jest tak silne, że nie daje mi ono spokoju.

Jedno jest pewne. Sąd ma wydać wyrok nie tylko na ludzi. Osądzić ma również jakąś „sprawę”, jakiś światopogląd. Chodzi teraz tylko o to, co to za sprawa? I jeszcze coś: gdzie należy szukać zła? — Bo przecież zbrodni dokonywało miliony ludzi, którzy musieli skądś czerpać zachętę, aprobatę i rozgrzeszenie.

Zadaję sobie pytanie, jaką rolę w tym wszystkim odegrał rozum — bo ten przecież aprobował. Wszystko było logiczne, skonstruowane wedle wszelkich zasad pragmatyzmu społecznego. Trzecia Rzesza — to niby ul, mrowisko,

PIELGRZYM

*Czaruje mnie, olśniewa ziemi cudzej krasa:
sina obecność morza, uśmiechnięte niebo,
melodyjne doliny, gdzie się domki pasą
i góry, co milcząco krajobrazu strzegą.*

*(A u nas płaskie pólka, mokre łąki w jaskrach,
rozlewne rzeki, dziewanny na piasku
i chaty pod gwiazdami i sosen szum w śniegu!...)*

*Odrzucam przepych bogactw i piękności nie chcę!
(Jakże wam wytłumaczyć jesień, śnieg, listopad?)*

*W dzień Cię tracę, co nocy odzyskuję we śnie,
której już nie zapomnę, którą muszę kochać,
Ciebie co żyjesz we mnie, choć Cię nazwać nie śmiem —
ziemio, w serce na zawsze wrośnięta boleśnie —
Mazowsze — Jeruzalem — dozogonna tęsknoto!...*

HELENA ZELWEROWICZ—ORCHONOWA



Na ławie oskarżonych w Norymberdze



Na korytarzu więzienia w Norymberdze

ogarnięte szaleńcem gromadzenia „zdo-
brych” i zrabowanych dóbr. Jakaś
obłądana zapobiegliwość polityczna i
gospodarcza...

Wiemy przecież, że i w świecie owa-
dów istnieją wojny. Jedno mrowisko
napada na drugie. Włoką potem zdo-
bywcy do swoich nor łupy w postaci
trupów swoich wrogów. Dlaczego? W
imię jakich zasad moralnych miałyby
mrówki odrzucać tak cenny materiał,
jak świeże i pożywne mięso innych mró-
wek? — Dlaczego? — Ich rozum, ich
zapobiegliwość nie budzi w nas sprze-
ciwu, co najwyżej litość w stosunku do
słabszych. To wszystko i... nie więcej.
Nawet na myśl nam nie przyjdzie, by
zmieniać mrówcze obyczaje.

Niemcy upodobnili się do mrówek.
Ich instynkt społeczny, ich rozum i
praktyczny światopogląd — oto przesłan-
ki, na których budowali państwo. Wszyst-
ko to oparte było na mocnych i —
o ile wolno się tak wyrazić — na zdro-
wych zasadach logiki. Realizacja pań-
stwa-mrowiska nie udała się, gdyż prze-
grali wojnę. A gdyby byli wygrali?...
Gdyby byli wygrali, wysaliby wszystkie
soki żywotne ze wszystkich podbitych
narodów i wybudowali olbrzymie, wspa-
niałe, świetnie skonstruowane państwo-
ul, państwo-mrowisko.

Czy obecny sąd skaże tych siedzących
na ławie oskarżonych Goeringów, Fran-
ków i Hessów dlatego tylko, że przegrali
wojnę? — Oto pytanie, które kryje w
sobie przeróżne, niebezpieczne odpowie-
dzi.

Sądzi tych zbrodniarzy trybunał, któ-
ry reprezentuje międzynarodowy świat...
— urwałem w połowie zdanie, bo właś-
ciwie nie bardzo wiem, jaki to świat
reprezentuje trybunał? — Świat demo-
kracji? Czyżby?... — Wobec tego, czym-
że jest demokracja? Podobno demokracja
— to wolność, to poszanowanie indywi-
dualnych praw człowieka... Demokracja,
w oparciu o interesy poszczególnych jed-
nostek, chce budować swoje państwa?...
Jeśli ktoś zgodzi się z tym zdaniem, to
razem ze mną znajdzie się zaraz w po-
ważnym kłopotcie, chce odpowiedzieć na
pytanie, czy cały trybunał
reprezentuje istotnie —
świat demokracji?



Gruzy zburzonego krematorium
w Oświęcimiu

Odnoszę nieraz wrażenie, że ludzkość
stworzyła sobie pojęcia, które niby slo-
gany mają służyć jedynie do... zabawy
w chowanego. Demokracja — to właśnie
jeden z takich sloganów.

DE—MO—KRA—CJA... Uniwersalny
środek do określenia... niczego. To prze-
cież nie nie określa. Zdezorientowani lu-
dzie radzą sobie jak mogą, aby chociaż
między sobą móc się porozumieć. Stwo-
rzyli takie określenia, jak: zachodnia
demokracja... wschodnia demokracja.
Czekam tylko, kiedy powstanie nowe
określenie: centralna demokracja.

Może teraz już zgodzimy się, że świat
hitlerowski sądzony będzie przez „za-
chodnią” i „wschodnią” demokrację.

Nie wiem dlaczego, ale gdyby sam te-
mat nie był taki tragiczny, to określe-
nie powyższe wywołałoby nie tylko u
mnie, ale również, sądzę, i u innych —
uśmiech nieomal ironiczny.

Już nie wrażenie, ale mam pewność,
że w procesie tym kryje się — niedo-
strzeżone przez ogół ale zasadnicze —
nieporozumienie.

Każdy światopogląd, który stawia so-

bie za ideę budowę państwa w oparciu
o rozum, — który interes tegoż państwa
stawia wyżej, niż dobro jednostki i na
tej drodze chce szukać szczęścia dla swo-
ich obywateli, czy przyszłych obywateli
— jest już na drodze, ba, na prostej dro-
dze, do budowy mrowiska. I wówczas
musi to doprowadzić do takich obrazów
i miejsc kaźni, jakie oglądaliśmy w
Oświęcimiu, Katyniu i Majdanku. Ro-
zum w oparciu o pragmatyzm, celo-
wość gospodarczą i dialektykę źle
przysłużył się ludzkości.

Nie zwalczam rozumu, broń Boże.
Mam jedynie odwagę nie przeceniać
ludzkiego rozumu. A to przecież — po-
doświadczeniach ostatnich kilkunastu lat
— chyba mi wolno. Boję się, że na dro-
dze spekulacji, opartej na przesłankach
czysto rozumowych, zapłacemy się z
powrotem w kolezaste druty nowych
obozów koncentracyjnych. Boję się tak-
że, że w ramach „doskonałego państwa”,
budowanego przez jakąś „wschodnią” de-
mokrację, — znajdzie się znowu miejsce
dla nowego Katynia. I mam nadzieję, że
„zachodnie” demokracje nie zabronią mi
żyć tego rodzaju obaw...

Jedynie miłość — i to
miłość bliźniego, tak po-
jęta, jak ją rozumie re-
ligia, może uratować
ludzkość przed... mądro-
ścią człowieka. Przed tą mą-
drością, która „wymyśliła” bombę atomo-
wą i Oświęcim, która kazała dzieciom
polskim odgrywać rolę królików doświad-
czalnych dla dobra... innych dzieci.

Nie jestem zwolennikiem wsteczności
społecznego. Nawet mi na myśl nie
przyszło, aby szerzyć propagandę po-
wrotu tego, co było. Naprawdę nie o
to tutaj chodzi. Mówię po prostu, nie
mam tylko zaufania do rozumu, jako
do jedynego czynnika, którego
chcę się użyć przy odbudowie świata.

Tragizm współczesne-
go człowieka jest więk-
szy, niż się o tym mówi, a
kryzys, jaki przeżywa
ludzkość, jest głębszy
niż o tym wypada... pisać.
Czy świat chce być oszukiwany? — Nie
wiem. — Jeżeli nawet tego chce, to robi
to znowu w imię jakiegoś rozumu... Po-
wiedzmy, rozumu politycznego...

Każdy potencjał jest relatywny. Siła
jakieś idei polega przede wszystkim na
słabości ideologii przeciwstawnej. Prze-
budowa ustroju społecznego, oparta na
koncepcji budowy państwa, któremu
wolno, własnym interesom podporządko-
wać wszystkie prawa jednostki — aż do
wolności, szczęścia i życia włącznie —
napotyka na drodze swego pochodzenia
program egoizmu materialnego i — bładny
szczyt — przebrzmiałe hasła, które
nie mają wartości nawet frazesów.

To, co napisałem, napewno nie jest po-
pularne. Ale nie to jest ważne. Chodzi
o to tylko, czy obawy moje są słuszne.
Może znajdą się tacy, którzy będą sta-
rali się przekonać mnie, że nie docenia-
li ukrytych sił, tkwiących w zachodnich
demokracjach... Bo jeśli chodzi o dyna-
mikę i atrakcyjność hasła, które głosi
wschodnia demokracja, to — bardzo
przepraszam — ale sam odpowiedzieć
potrafię. Wszystko doceniam! I to właś-
nie dlatego, pesymizm mój każe mi wy-
powiedzieć myśl moją do końca.

Fanatyzm mrówek jest zdumiewający.
Entuzjazm, który towarzyszy ludziom
przy budowie ich państwa-mrowiska —
jest znacznie, znacznie mniejszy... Mi-
łość bliźniego, głoszona przez uczniów
TEGO, który sam był miłością, a któ-
rzy rekrutowali się z rybaków, cieśli
i ogrodników, z tych — jakby ktoś dzisiaj
powiedział — najniższych sfer prole-
tariatu, była po stokroć razy bardziej
dynamiczna. Zburzyła imperium rzymskie,
rozwarła naocześnie wrota ówczes-
nych „kacetów” i zmiotła z powierzchni
ziemi pojęcie ówczesnego niewolnictwa.
I rzecz dziwna — idea ta nic nie straciła
na swej atrakcyjności. Plekro ludz-
kość chociażby na chwilę zapomni o
niej i zwróci się do bardziej „nowoczes-
nego programu”, wówczas... wówczas
powraca barbarzyństwo. Powracają
miejsca kaźni, hegemonia państw i no-
woczesne niewolnictwo.

Jest coś zastanawiającego w tej praw-
dzie. Duma myśli współczesnego czło-
wieka musi doznać głębokiego upoko-
rzenia.

Teraz już wiem! — Trybunał,
zasiadający w procesie
norymberskim, sędzić bę-
dzie brak miłości bliź-
niego. Uczucia tego napróżno szukać
w barbarzyńskim i bezbożnym świecie,



(Keystone Press Agency)

Rzym: — przy urnach wyborczych

stworzonym przez Hitlera i jego współ-
towarzyszy zbrodni. Trybunał sędzić bę-
dzie w imię zasad zachodniej i wschod-
niej demokracji... — I obawiam się, że
może nie u wszystkich, ale u niektó-

rych delegacji tego międzynarodowego
zespołu sądujących, tkwić będzie aż do
konca... nie-po-ro-zu-mie-nie.

JAN KINISKI

„OFENSYWA POKOJOWA”

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

PROBY POROZUMIENIA

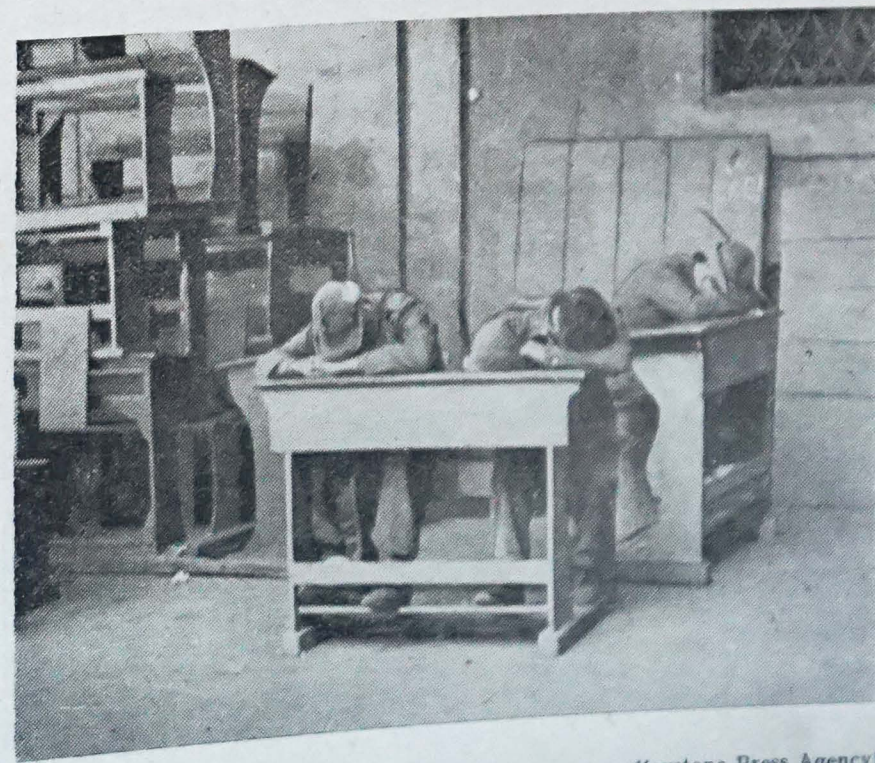
Od powodzenia konferencji mini-
strów spraw zagranicznych w Pary-
żu zależy bardzo wiele, a nawet,
jak twierdzą niektórzy, ma ona
być „ostatnią” próbą porozumie-
nia. Pierwsza bowiem sesja mini-
strów wielkiej czwórki skończyła
się zupełnym niepowodzeniem, gdyż
poza zmianą warunków zawieszenia
broni z Włochami i decyzją przy-
znania im południowego Tyrolu, nie
zakończono ani jednej ważniejszej
sprawy. We wszystkich zaś spra-
wach spotkano się z oporem p. Mo-
łotowa, ministra spraw zagranicz-
nych Z.S.R.R. We wszystkich. Ta
nieustępliwość przedstawiciela So-
wietów, wywołała ze strony jednego
z posłów, który powiedział, że gdy-
by p. Mołotow był Anglikiem, to
byłby zapewne urzędnikiem skar-
bowym, gdyż odpowiada: „nie” —
na wszystkie podania.

Największym może rozczarowa-
niem było odrzucenie przez Rosjan
projektu dwudziestopięcioletniej u-
mowy gwarancyjnej czterech mo-
carstw dla Niemiec, wysuniętego
przez Byrnesa. Wiadomo, że ze
względu na centralne położenie, ja-
kie zajmują Niemcy w Europie, od
rozwiązania zagadnienia niemieck-
kiego zależy rozwiązanie wszystkich
niemal spornych spraw europej-
skich. Ze strony mocarstw anglo-
saskich mówi się o możliwości za-
warcia odrębnych układów z były-

mi państwami nieprzyjacielskimi,
bez udziału Rosji. Obecny stan rze-
czy — „ani pokój, ani wojna” —
przyczynia się jedynie do dalszego
pogłębiania chaosu. Jest jednak
jasne, że taka decyzja oznaczałaby
zrezygnowanie z porozumienia we-
wnątrz (mówiąc słowami Churchil-
la) „wielkiej czwórki, wielkiej

trójki, czy wielkiej dwójki i pół”,
a zatem pociągnęłyby za sobą osta-
teczne skryształowanie się i zam-
knięcie „bloków”. Taką zaś sytu-
ację ogólnie uważają za groźną dla
pokoju.

Po powrocie do Stanów Zjedno-
czonych p. Byrnes oświadczył, że
konferencja paryska była począt-



(Keystone Press Agency)

Wybory w Rzymie: — zmożeni snem po wyczerpującej służbie



(Keystone Press Agency)

Ogłoszenie wyników referendum przez prezydenta Trybunału Kasacyjnego Pagano w dniu 10.6. w pałacu Montecitorio w Rzymie

kiem amerykańskiej „ofensywy pokojowej”, a należy zauważyć, że był tam w otoczeniu przywódców obu głównych stronnictw amerykańskich w senacie, senatorów Connolly'ego i Vandenberg. Jeżeli dodamy, że polityka p. Bevin'a zyskała na ostatniej debacie w Izbie Gmin mocne poparcie nie tylko na kongresie Labour Party ale i ze strony opozycji, to się okaże, że następną fazą „ofensywy pokojowej” będzie rozmowa już nie pomiędzy ministrami, ale pomiędzy narodami.

Rząd amerykański wystąpił ostatnio z nowym projektem, który przewiduje „umiędzynarodowienie” broni atomowej, pod warunkiem, że w tej dziedzinie prawo weta nie będzie miało zastosowania. Zważywszy, że dotychczas rząd sowiecki był najgorliwszym szermierzem weta — i tu powodzenie projektu zależy od Rosji.

SOWIECKA KAMPANIA PROPAGANDOWA

Zaraz po konferencji paryskiej nastąpiła dość ostra wymiana zdań pomiędzy Waszyngtonem i Moskwą w formie wywiadów prasowych. W wywiadzie, udzielonym prasie sowieckiej, Mołotow zajął raz jeszcze odmowne stanowisko wobec proponowanego przez Stany Zjednoczone zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami i oskarżył Amerykę o usiłowanie stworzenia bloku antysowieckiego. Wystąpienie to spotkało się z repliką Byrnesa, również w wywiadzie prasowym. Amerykański sekretarz stanu stwierdził ponownie (wobec zarzutów Mołotowa), że w grudniu roku ubiegłego uzyskał zgodę Stalina na projekt, wysunięty potem w Paryżu i zaprzeczony twierdzeniom na temat bloku antysowieckiego. Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie bardzo ostrej

kampanii propagandowej, prowadzonej przez prasę i radio sowieckiej. O jej tonie świadczą między innymi, chociażby przymiottniki, jakimi „Izwestia” obdarzyły amerykańską politykę w Niemczech: „bezprawna, brutalna, bezczelna”. W tym samym mniej więcej czasie prezydent Truman podał do wiadomości, że już dwukrotnie zapraszał marszałka Stalina do Waszyngtonu i dwukrotnie spotkał się z ołmową. Na wszelki wypadek władze amerykańskie wstrzymały dostawę przemysłowe z okupowanej przez wojska Stanów Zjednoczonych części Niemiec do strefy sowieckiej.

REPUBLIKA WE WŁOSZACH, WYBORY WE FRANCJI I W CZECHOSŁOWACJI

Referendum, które odbyło się dość spokojnie we Włoszech dnia 2 czerwca, przyniosło zwycięstwo zwolennikom republiki, którzy uzyskali około dwa miliony głosów, więcej aniżeli monarchiści. Jednocześnie przeprowadzone wybory do Konstytuandy wzmocniły silnie partię katolicką; socjaliści znaleźli się na drugim miejscu, komuniści na trzecim. Już przygotowany wyjazd króla Humberta do Portugalii, został jednak wstrzymany, gdy ze strony stronnictw monarchistycznych pojawiły się protesty formalne, w których kwestionowano ścisłość i zupełność wyników referendum. To doprowadziło do naprężenia sytuacji wewnętrznej. Gdy walki między zwolennikami i przeciwnikami monarchii przeniosły się z południa do stolicy, król wreszcie opuścił Włochy.

Stronnictwo katolickie (MRP) wyszło również zwycięsko z wyborów do Konstytuandy francuskiej. Za katolikami idą kolejno: komuniści i socjaliści. Wydaje się więc, że w obu krajach łacińskich zwycięży umiarkowane prądzie przychodzą do głosu. Uspokajający wpływ na opinię francuską będzie miało prawdopodobnie i fakt, że misja Bluma zakończyła się szczęśliwie uzyskaniem pożyczki w wysokości 1,370.000.000 dolarów.

W Czechosłowacji natomiast komuniści uzyskali w wyborach największą ilość głosów. Zważywszy, że Czechy, ani z usposobienia, ani z tradycji nie były nigdy krajem wojującego komunizmu, można by zastanowić się nad znaczeniem kolejnego przystosowania się tego spokojnego społeczeństwa do kolejnych protektoratów.

Dlaczego nie odbyły się jeszcze „swobodne i nieskrępowane” wybory w Rumunii? Pytanie to postawiły wprawie jednobrzmiących Stanotach do Bukaresztu rządu Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Otrzymała w tej sprawie odpowiedź uznano, zarówno w Waszyngtonie, jak i w Londynie, za niewystarczającą.

„DZIWACZNY” PRZEBIEG WYDARZEŃ W POLSCE

W toku ostatniej debaty w Izbie Gmin na temat brytyjskiej polityki zagranicznej, przywódca opo-

zycej, Winston Churchill, przypominając, że swego czasu ostro go atakowano za poparcie, udzielone tzw. linii Curzona, przyznał, że dzisiaj owa linia należy już do przeszłości natomiast — z ubolewaniem — że rzeczywistość granica świata biegnie od Szczecina do Triestu. Mówiąc o sytuacji w Polsce powiedział, że naród brytyjski śledzi „dziwaczny” przebieg usiłowań swych w tym kraju. Słowo „dziwaczny” oznacza po prostu ostateczne likwidowanie wszelkich pozorów „demokracji”. Po rozwiązaniu szeregu rad powiatowych PSL, sytuacja Mikołajczyka w rządzie warszawskim jest już najzupełniej „dziwaczna”, tak, że amerykański tygodnik „Newsweek” twierdzi, iż Mikołajczyk jest w nieustannej obawie o życie, co — jak pisze „Newsweek” — nie pozostaje bez wpływu na jego decyzje. Ostatnio prasa doniosła o rozłamie P.S.L. i wystąpieniu czterech członków z rady naczelnej stronnictwa. Co prawda secesjonistą nie są, zdaje się, zbyt liczni, jednak rozłam ten powiększa trudności, na jakie natrafia Mikołajczyk.

Przywódca krajowej P. P. S. Żuławski, który swego czasu poszedł na „współpracę” i „blok”, wystąpił z protestem z rady naczelnej stronnictwa, a w ślad za nim trzech innych członków rady. W Krakowie, po trzociemajowych demonstracjach młodzieży akademickiej, aresztowano 400 studentów, zaś 24 maja odbyły się w Warszawie podobne demonstracje, zakończone zbiorowym marszem młodzieży pod więzienie mokotowskie.

Pewną sensacją był nagły wyjazd rządu warszawskiego z Bierutem na czele (ale bez Mikołajczyka i Rzymowskiego) do Moskwy, gdzie obiecano podobno poparcie finansowe, zwłaszcza w dziedzinie uzbrojenia. Nastąpiło to, jak słychać, wobec niepowodzenia finansowych rozmów Warszawy z Londynem. Nie potrzeba udowadniać, że oznacza to dalsze uzależnienie się satelity od sowieckiego protektora. Ostatnio rząd amerykański zawiesił dostawy z tytułu przyznanej przed tym Warszawie pożyczki. Decyzja ta nastąpiła podobno po rozmowie amerykańskiego ambasadora w Warszawie z sekretarzem stanu Byrnesem. Zwracano uwagę na fakt, że w tym samym czasie, gdy w Moskwie przebywali członkowie rządu warszawskiego, wezwany został również do Moskwy marszałek Tito wraz z członkami swego gabinetu. Jesteśmy, jak widać, w przededniu silnego zwierania się sowieckiego „bloku wschodniego”.

SPRAWA WOJSKA POLSKIEGO ZA GRANICĄ

Na posiedzeniu Izby Gmin dnia 20 maja minister spraw zagranicznych p. Bevin oświadczył, że rząd brytyjski postanowił zdemobilizować jednostki wojska polskiego, znajdujące się pod dowództwem



(Keystone Press Agency)

Nocą na pl. Opery w Paryżu tłum słucha wyników wyborów do Konstytuandy, podawanych przez radio

brytyjskim. Oddziały przeniesione będą do Wielkiej Brytanii, tam zdemobilizowane po czym utworzony będzie Korpus Przystosobienia, którego zadaniem będzie ułatwienie żołnierzom polskim przejścia do życia cywilnego. Rząd zapewni również żołnierzom możliwość połączenia się z rodzinami. Na temat przyjęcia części zdemobilizowanych oddziałów polskich przez Dominia minister Bevin odmówił chwilowo wyjaśnień, ponieważ w tej sprawie prowadził nadal rozmowy.

Wódz Naczelny gen. Bór-Komorowski przyjmowany był serdecznie przez społeczeństwo amerykańskie i przez miejscową Polonię. Z okazji urządzonych na jego cześć manifestacji brali udział również wybitni przedstawiciele społeczeństwa i miejscowych władz. Po bankiecie, wydanym na cześć Generała przez burmistrza Nowego Jorku, ambasador sowiecki wystąpił z protestem z powodu obecności na bankiecie zastępcy sekretarza generalnego organizacji Narodów Zjednoczonych p. Hudson'a. Protest ten pozostał przez miejscową opinię zbagatelizowany.

WYROWNANA LINIA

Mowa, którą wygłosił brytyjski minister spraw zagranicznych p. Bevin, otwierając wielką debatę na temat polityki zewnętrznej w Izbie Gmin, była — tak ocenia ją między innymi prasa szwajcarska — seria innych prasa oskarżeń pod adresem rządu Z.S.R.R. Mowa wypowiedziana była jednak w bardzo umiarkowanej formie, tak że pozostawia, zdaniem wielu komentatorów, jeszcze wiele drzwi otwartych do porozumienia. Ale jak to na zakończenie demienia. Ale jak to na zakończenie demienia. Ale jak to na zakończenie demienia. Ale jak to na zakończenie demienia.

nia postępowania obu mocarstw zachodnich jest już wyrównana.

JAN PODOLSKI

BALLADA O POWROCIE

Szum w głowie moja nocka bezsenna. Czas się ustał, niby woda bagienna. Nie pomogę ani wódz e, ani głowie — zaplątany w pieśń mojej i w mowę. Niechaj płyną po stawie, po trawie — nic im przecież nie poradzę na jawie. Jawa, światłem przerwana, nie śmie, tylko we śnie serce wskrzeszę — tylko we śnie, smie, tylko we śnie czas przez sito przedzę. i rodzinne strony moje nawiedzę. Z lasu wyjdę duszą utajoną, w progu stanę odswieżone i zielono... I pobudzę jednym zimnym westchnieniem wszystkie serca stęsknione za mym cieniem. Nikt się, mojej niewidności nie zleknie, przyjdzie, spojrzysz, popatrzysz i ukłęknie. Potem wstanie i do serca przygaranie i zaczniemy mówić śpiewnie i gwarnie.

WIOSNA

Trąciem wiosnę i sztuktem. Snem pachnie i kwiatami... Snem — trysem wysmukłym — wiosennie zieleń gra mi. Płynie wonna muzyka cienką rzeką słowiczą. Pomaleńku nawykam do kwitających księżyców. Ginę w oczach, maleję i przytulam się do snu... Sen trysem jaśnieje, trysy snami rosną... BRONISŁAW PRZYŁUSKI



(Keystone Press Agency)

Wybory we Francji: Leon Blum senior socjal. franc. oddaje swój głos

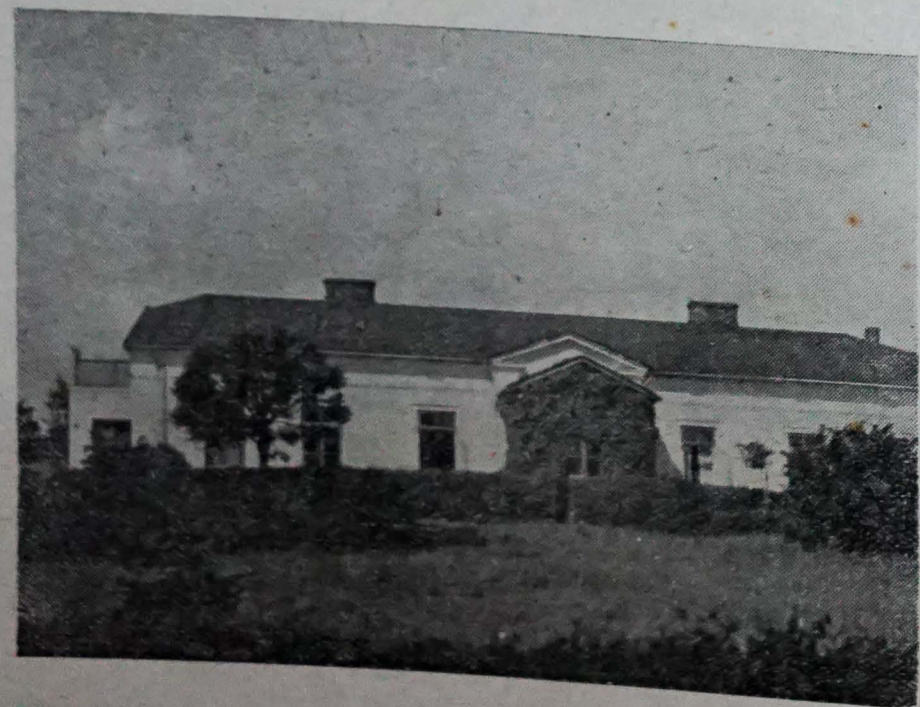
W DNIU WŁADYSŁAWA

Składając najserdeczniejsze życzenia obu Solenizantom: Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej Władysławowi Raczkiewiczowi i Dowódcy 2. Korpusu Gen. Dyw. Władysławowi Andersowi — zastanowić się trzeba nad tą chwilą tak trudną i tak dla nas Polaków — w Kraju i za granicą — historyczną. Obaj: Prezydent i Dowódca widomie dźwigają dziś te tragiczne wydarzenia, które dotknęły Kraj, Naród i Wojsko. W ko-



Pan Prezydent R. P. Władysław Raczkiewicz

towisku nierozstrzygniętych spraw świata, ciągle jeszcze — choćby się wydawało inaczej — rusza się, żyje



Dom rodzinny gen. Andersa w Błoni, pow. Kutno

i o swoje dopomina się sprawa Polski. Jeżeli tak się stało, że nie jest dziś w mocy ani Głowy Państwa, ani zwycięskiego Dowódcy wydobycie Polski z nieszczęść i niezastużonych krzywd, to jednak nie odmawia Im nikt z nas zaufania, wierząc, że nie wypuszczą z ręki steru, a z myśli realnej troski. Obaj — świadomi swojej wielkiej odpowiedzialności przed Narodem, mogą się przecież powołać na swoją świetną przeszłość, na znakomite czyny, na wierną służbę idei w każdym okresie swego życia.

Nasze życzenia idą więc śladem tych czynów i tej wytrwałości, tylekroć wypróbowanej w dobrej i złej doli. Wiemy, że czekają nas jeszcze ogromne wysiłki i ofiary, skoro wyraźne są tendencje zlikwidowania naszych dążeń. Prezydent Rzeczypospolitej może liczyć na nas, może zaufać nam, że nie zejdziemy z prawej, prawdziwie polskiej drogi. Idąc po tej drodze, tym głębiej ocenimy Jego moc ducha i Jego nieustępliwość na stanowisku, które zajmuje według praw i słuszności.

Bliżej i ściślej związane są nasze losy z gen. Andersem. Jest naszym Dowódcą od tak wielu lat, prowadził nas dalekimi drogami, ciągle

tak samo do Polski wolnej, niepodległej, całej. Nie załamując się nigdy, nie pozwolił i nam poddawać się zwątpieniu. Uparty w wierze, że idziemy ku dobremu wynikowi, ma tę wielką zasługę, że mogliśmy wytrzymać ciosy, że dane nam było szczęście zwycięstw. Dowódca był zawsze żołnierzem, który nie schodzi z pozycji nawet najbardziej zagrożonej. Zwycięzał w boju, podbijał nasze serca. Dziś, gdy odbierają nam broń, a Jemu żołnierzy, jeszcze jest nieustępliwy, jeszcze nakazuje nam



Gen. Władysław Anders z czasów, kiedy jeszcze jako ptk. był dowódcą II samodz. brzołady kawalerii w Równem

zachowanie dyscypliny, wiary, mocy charakteru. Nakazując, patrzy w nasze oczy, z których nie trudno Mu wyczytać uczucie rozpacz i sprzeciwu, tłumiony gniew i maszą z bojówką i tułaczką powstałą godność żołnierską i obywatelską. To właśnie może wyczytać z oczu, z serca, z myśli swoich żołnierzy, którzy dziś nie są zdolni do słów. Mileczą żołnierze Polskich Sił Zbrojnych za granicą, aby, jeżeli nie można inaczej, tak wyrazić swój protest przeciw temu co spotkało ich, i ich Dowódcę. W dniu Imienin proszą swojego Dowódcę, aby wziął ten milczący protest jako wyraz największego protestu męstwa żołnierskiego w tej wojnie. Aby w tym widział zapowiedź zwycięstw wojennych, do których, da Bóg, jeszcze nas poprowadzi.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ W BUDOWANIU PRZYSZŁEJ POLSKI

Z referatu wygłoszonego na kursie Starszo - harcerskim w San Primo.

Idea spółdzielczości rodzi się w Anglii w czterdziestych latach ubiegłego stulecia. Z wielkiego oddania się sprawie i z dużej dozy zdrowego rozsądku sławnych na całym świecie tkaczy Rochdalekich powstaje w Anglii w roku 1844 pierwsza kooperatywa spożywców. Staje się ona idealnym wzorem, a jednocześnie typem prawdziwej spółdzielni. Opiera się na prostych ale niezmiernie trafnych i sprawiedliwych zasadach, które ze swej praktyczności i ideowości zdają egzamin przez sto lat we wszystkich krajach świata, wszędzie — gdzie nie stumiła ich przemoc dyktatorów.

ISTOTA RUCHU SPÓŁDZIELCZEGO

Na czym polega ruch spółdzielczy w najogólniejszym, zwięzłym ujęciu? Organizuje on produkcję i wymianę w dobrowolnych i powszechnych stowarzyszeniach spółdzielczych o demokratycznym ustroju i czyni to zgodnie z interesem zbiorowym i jednostkowym drobnych wytwórców i najszerzszym rzesz konsumentów — z wykluczeniem wyzysku, eliminując olbrzymie koszty zbędnego pośrednictwa prywatnego.

Pracując nad jak najlepszym zapakowaniem całej skali potrzeb materialnych i kulturalnych swych członków, obraca funduszami udziałowymi, a z części nadwyżek (które w spółdzielni nie nazywają się zyskiem) tworzy społeczny, niepodzielny fundusz, służący dalszemu rozwojowi stowarzyszenia i podniesieniu poziomu życia. Część zaś nadwyżki, jako powstałej z nadpłaty członków przy ich operacjach gospodarczych ze swym stowarzyszeniem, zwraca członkom w końcu roku, nie jako procent od włożonego udziału, lecz jako ich własną oszczędność. Zwraca ją proporcjonalnie do obrotów dokonanych ze spółdzielnią, a więc do istotnej usługi członka wobec spółdzielni. Im kto więcej kupował towarów w swej spółdzielni, albo im kto więcej dostarczał do niej np. zboża, lub własnej pracy (w zależności od rodzaju spółdzielni), tym więcej zwróci mu się w końcu roku tej nadpłaty, tej części nadwartości, która całkowicie od niego pochodzi i jest jego własnością. Nie ma to nic wspólnego z dywidendą i nie należy jej tak nazywać.

Tak więc członkowie uspołeczniają część swojej nadpłaty dobrowolnie w wysokości dowolnej (nie mniej jednak niż 10% całej nadwyżki, jak to było w polskiej ustawie o spółdzielniach).

To oddawanie pozostałej części nadwyżki (w postaci t.zw. zwrotu od zakupów w spółdzielniach spożywców) — jest zasadą logiczną i bardzo sprawiedliwą przez co ogromnie wiąże członków ze spółdzielnią, dając im łatwe automatyczne oszczędności, poczucie siusznosci i ładu.

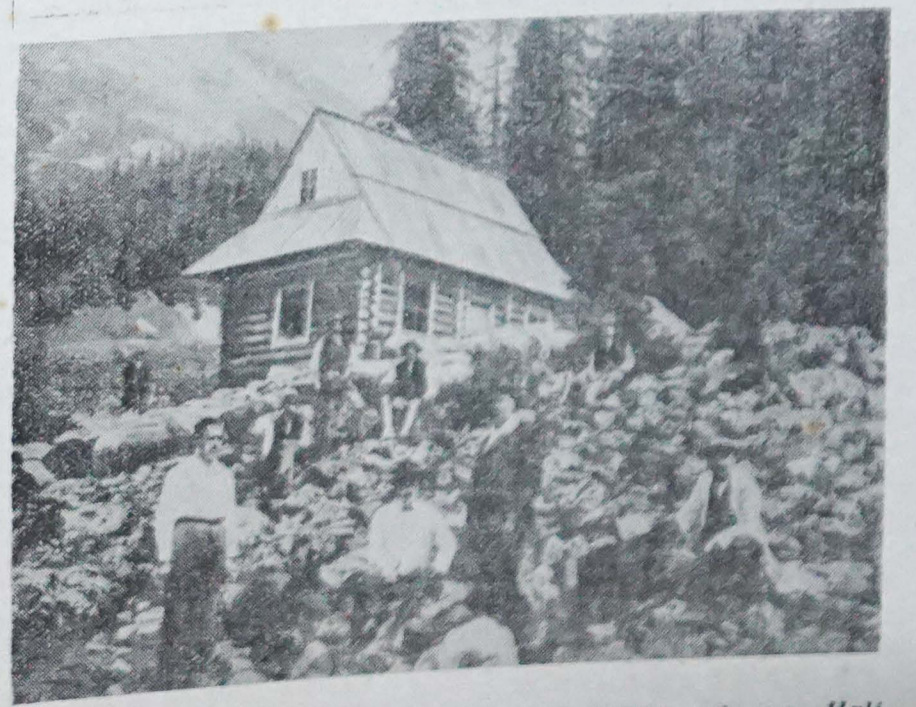
Gospodarując dla zaspokojenia potrzeb, a nie zysku, dobrze prosperująca spółdzielnia, daje swym członkom towar z pierwszego źródła: wprost od producenta, czy też z hurtowni spółdzielczej, względnie z wytwórni przez spółdzielczą zorganizowaną. Produkcją dla siebie, dysponuje — rzecz prosta — towarem najlepszej jakości, nie oszukuje sam siebie ani fałszerstwem produktu, ani skąpą miarą czy wagą.

Wspomniany demokratyczny ustroj spółdzielni daje równe prawa współrzędzenia i kontroli wszystkim członkom: większa ilość wpłaconych udziałów nie daje większych praw, obowiązują zasady: jeden członek — jeden głos. Zbiorowość nakłada na wszystkich odpowiedzialność indywidualną (z udziałami) i obowiązek gospodarowania zgodnie z interesem ogółu: konsumentów w spółdzielniach spożywców i drobnych wytwórców w spółdzielniach; uczy umiejętności gospodarowania w zespole i indywidualnie, według budżetu osobistego, bez korzystania z niezdrowego kredytu konsumpcyjnego; uczy ofiarności na cele

wspólne i coraz wyższe, przez przeznaczanie części nadwyżek na pracę kulturalno-oswiatową i wychowawczą wśród członków; przechodzi — w miarę swego rozwoju i świadomości członków — do łączenia się spółdzielni w związki, do zakładania wspólnych hurtowni, do organizowania produkcji we wszystkich osiągalnych dziedzinach; zaprowadza celowość i ład w gospodarstwie społecznym, zaprzęgając środki materialne tj. fundusze — do pracy dla dobra ogólnego.

Znane są powszechnie osiągnięcia ruchu spółdzielczego w Anglii, Danii, Szwecji i wielu innych państwach. Oto zachodzi tam proces uniezależnienia się zdrowej gospodarki społecznej od dysponentów bogactw materialnych, którzy to bogactwo raz palą, raz topią w morzu, bo im się tak opłaca, lub zamieniają na lichą tandetę i wypychają reklamamiarskimi sztuczkami naiwnym i bezbronnym odbiorcom — wreszcie genialną wynalazczością ludzkiego umysłu kupują za krocie, by tworzyła narzędzia zagłady jednych narodów przez drugie.

Spółdzielczość krok za krokiem dokonuje przemiany ustroju gospodarczego i przemiany w psychice ludzkiej, światopoglądzie i filozofii życia. Spółdzielczość wprowadza nie tylko inną formę zaspokajania potrzeb, nie tylko wyrównuje straszliwe dysproporcje, ale kształtuje życie w wielkim umiarze i harmonii, wprowadza inną ocenę bogactwa, stawia życie twórcze i użyteczne ponad użycie.



„Bacówka” — bryndzarnia Spółdzielni Rolniczych na Halli Tomanowej w Tatrach



Pierwsza wytwórnia maszyn i narzędzi mleczarskich Spółdzielni Rolniczych w Krakowie

Spółdzielczość z całej istoty swych założeń przeciwstawia się wszystkim odmianom ustroju kapitalistycznego, a zarazem, oczywiście stoi w sprzeczności ze wszystkimi systemami totalnymi i dyktatorskimi. Buduje na wolnych, na wskroś demokratycznych zrzeczeniach, wprowadzając w miejsce współzawodnictwa — współdziałanie, w miejsce wyzysku — pomoc wzajemną, w miejsce nienawisci i walki między ludźmi — miłość i harmonię. Człowiek wolny jest w tym systemie podmiotem, a praca zbiorowa, która zdolna jest „cuda czynić” — jest istotną dźwignią w tworzeniu lepszego życia. Zbiorowe działanie, choć opiera się na masie, nie standaryzuje ludzi, ale zapewnia im indywidualny rozwój i awans społeczny.

W realizowaniu swych celów spółdzielczość szanuje i ustala własność prywatną, udoskonala i uszlachetnia prywatne warsztaty pracy, ale jednocześnie stoi na straży moralności społecznej, strzegąc dobra ogólnego przed wybujałym egoizmem jednostki czy grupy — przed zamachem na to dobro.

Praca ta jest bardzo trudna. Wymaga dwóch warunków: 1) wolnego demokratycznego ustroju, aby nie została zgilotynowana, jak przez faszyzm lub nazizm, i aby nie stała się monopolistyczno-partijną „rodzielną i oddzielną”, nic z ideą spółdzielczości nie mającą wspólnego, jak w Rosji sowieckiej, 2) wymaga uświadomienia społeczeństwa, wysokiego poziomu kultury i oświaty, bowiem ideę spółdzielczą trzeba gruntownie rozumieć i konsekwentnie ją realizować.

Praca spółdzielcza jest trudna, bo wymaga charakterów. Spółdzielnia kształci i wychowuje sama przez się, ale tym się nie zadawała — stawia sobie zadania

wychowawcze i oświatowe, powołuje do życia spółdzielcze domy ludowe, świetlice, czytelnie, szkoły, kursy, instytucje naukowe i t.d.

ZNACZENIE DLA POLSKI

Polska, zacofana w rozwoju przez długą niewolę, nie zdołała dopędzić Zachodu w postępkach ruchu spółdzielczego. Polski ruch spółdzielczy był nacechowany początkowo wielkim rozdrobnieniem i różnokierunkowością. Powodowało to częste odstępowanie od zasad i mnożenie się pseudo spółdzielni.

Okresem zwrotnym były lata 1924-25 — okres konsolidacji spółdzielni najpierw rolniczych, a w rok potem — spożywców. Krzepnął i nabierał rozmachu ruch spółdzielczy, a w latach kryzysu 1929-1930 dał dowody, że wszystko co zdrowe i prawdziwe spółdzielcze ostało się, a nawet wzmocniło.

Polska, kraj mało uprzemysłowiony, kraj rolniczy o niezdrowym ustroju rolnym i niskiej kulturze rolnej, o dużej ilości rąk roboczych i żywiołowym pędzie młodzieży wiejskiej do oświaty i organizowania się — jest krajem, który przede wszystkim w spółdzielczości mógł widzieć realną zapowiedź przyszłego doskonalszego układu życia.

Demokratyczne sfery Polski Niepodległej i zespolona w szerokim wachlarzu cała Polska Podziemna — w swych koncepcjach ustrojowych przewidywała i przepracowywała reformę ustroju gospodarczego, a w pierwszym rządzie rolnego. Uchwalono dalsze rozdrobnienie prywatnej własności rolnej do maksimum 50 ha, upełnorolnienie gospodarstw krajowych, organizowanie rolników i szeregu pomocniczych działań gospodarczych na zasadach spółdzielczości.

Polska, mimo różnych przeszkód i oporów wewnętrznych, szła w kie-

runku coraz większej demokratyzacji życia, w kierunku ewolucyjnej zmiany ustroju. Olbrzymią w tym rolę ma do spełnienia ruch spółdzielczy. Przemysł rolny, rzemiosło, chałupnictwo i praca w przeróżnych zawodach, organizowana z poparciem i ochroną prawną państwa, ale organizowana od dołu przez stowarzyszenia spółdzielcze — rokowały wzrost ogólnej stopy życia i kultury.

Drużyna wojna światowa i potęgi zaborcze stanęły temu na przeszkodzie. Wyniszczono Kraj i ludzi. Okupant niemiecki zmienił nasze spółdzielnie w posłuszny aparat do rozprowadzania towarów i ściągania kontyngentów. Okupant sowiecki pozostawił narazie pozory wolności tych zrzeczeń, ale metody jego w stosunku do wszystkiego, co technicznie swobodnym działaniem i prawdą — demokratyczną samorządnością, znane są tak dobrze i na tylu przykładach, że niepodobna zdobyć się na optymizm, co do dalszych losów polskiej spółdzielczości w obecnym systemie.

ZADANIA PRZYSZŁOŚCI

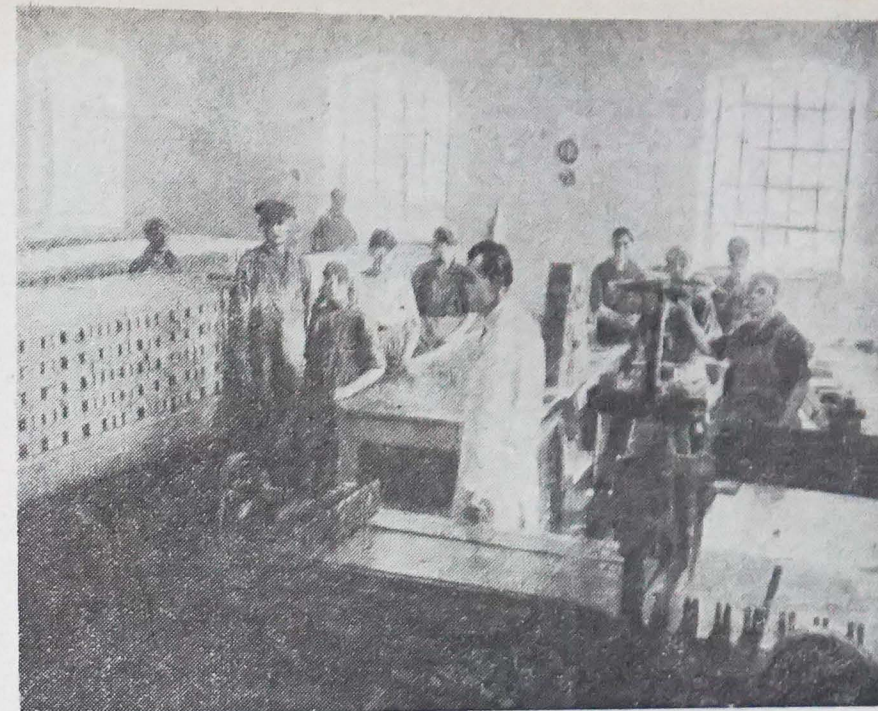
Przemiany gospodarczo-ustrojowe zachodzą dziś na całym świecie; zmienia się bądź na mocy żądań dojrzałych społeczeństw w imię sprawiedliwości, bądź pod presją zaborczych bagnetów — układ własności środków produkcji. Upanstwienie, uspołecznienie, upowszechnianie własności prywatnej jest nakazem czasów.

W Polsce, po pozbyciu się okupanta, zastaniemy zmiany dokonane. Korzystne i bardzo niekorzystne: zmiany na plus w dojrzałości i doświadczeniach szerokich rzeszy społecznych, w rozdrobnieniu własności ziemskiej i w — nie po naszej myśli robionym — upanstwieniu kluczowych gałęzi przemysłu itd. Konieczna będzie nasza własna, olbrzymia korekta, uporządkowanie życia, uprawomocnienie norm. Odpadną obce naleciałości, hulacjeszce będą czas jakiś nasze rodzime hieny spekulacyjne, koniunkturalni dorobkiewicz i politykierzy.

Nie ulega wątpliwości, że spółdzielczość — ta polska, zdrowa spółdzielczość, odziedziczona po naszych pionierach, najczystszych ideowcach — będzie miała olbrzymie pole do popisu. „Idee społeczne kooperatywności” Edwarda Abramowskiego, „Sklepy społeczne” Edwarda Milewskiego, doświadczenia ks. Adamskiego i ks. Bliżńskiego, naki i drogowskazy Romualda Mielczarskiego, Stanisława Wojciechowskiego, „Sklepy społeczne” Edwarda Rapackiego — nie stracą na aktualności. Zmieniają się tylko warunki i zmieni się układ najżywniejszych sił naszego narodu. Musimy być tego świadomi.

Rola ruchu spółdzielczego w budowaniu od podstaw lepszego życia jest tak realna i tak wielka mocą swej ideologii, że nie może Polak współczujący ze swym Narodem przejść koło tych zagadnień obojętnie — i to niezależnie od swych poglądów. Czy będzie kto wierzył w obejmującą całokształt życia Rzeczpospolitą Spółdzielczą, czy w spółdzielczość wąsko ujętą, jako formę jedynie samoobrony przed wyzyskiem, czy będzie słusznie nadawał spółdzielczości znaczenie systemu filozoficznego — jakże zgodnego z filozofią chrześcijaństwa — każdy rzetelny reformator życia spotecznego spotka się z tym ruchem, jako ideologią i realnym działaniem, i będzie musiał zająć wobec niego stanowisko. I będzie w swej wizji o przyszłym ustroju wyznaczał taką czy inną rolę państwu, samorządowi i dobrowolnym zrzeczeniom spółdzielczym, których siła leży w sprawiedliwości, braterstwie i twórczym działaniu.

HALINA CZARNOCKA



Zakłady przemysłowe Związku Spożywców w Kielcach

JASYR

Nazywał się Józef Ciepluch, pochodził z kieleckiego, ale przez 20 lat od tamtej wojny wrosł już w Wileńszczyznę, jak wrastają pokolenia przed nim. Toteż ci ludzie, którzy się „wraz” koło nas na Majdanie Irackiego wydmuchu wyroili — ci ze Świra i z Komaji i z Hoduciszek i aż do z Postawiego sąsiedzi i kumowie — nie różnili się niczym od niego. Stałiśmy tak kręgiem, kiedy zmrok zapadał, a szakale poczynaly niesamowite jęki i mówiliśmy żarliwie o tych tam kątach.

— Tego pan pamięta?
— A w tej wsi pan był?
A zaraz potem na zwęglonych słupkach wspomnień zawieszali opowiadanie — co było z tą ziemią. Jak się przeciwialił nowemu porządkowi, jak trwali nieustępliwie zamkniętym trawieniem, jak wreszcie wyrwać ich poczęto z tej ziemi, plewić plewnikiem straszliwym, straszliwym niż legendy dawnych lat, narosłe od pradziadów.

I dopiero kiedym musiał jechać, wyszło, jako ich gnano w jasyr. Czas naglił. A sprawa nie mogła być pominięta. Wówczas Józef Ciepluch — ten ongiś spod Kielc, a w ostatnich dwudziestu latach z gminy Łyntupskiej — obiecał mi, że na drugi dzień przyjdzie z relacją. Mój obóz był o 4 kilometry. Ciepluch jest sierżantem, ma służbę. Może więc przyjsz w czasie tzw. „przerwy tropikalnej” — między 11 — 15. Kto zna Irak, ten wie, co znaczy marsz o tej porze.

Kiedy się zjawił na drugi dzień, spisałem tę relację, jak przodkowie nasi przed wiekami spisywali relacje wracających z jasyru.

* * *
„24 czerwca 1941 roku z więzienia w Starej Wilejce kazano wyjść

więźniom. Wychodzili z cel, w których siedzieli długie tygodnie w zaduchu, tak stoczeni, że nocą mogli się obracać na drugi bok tylko wszyscy na komendę. O twarze ich uderzył świeży wietrzyk. Kazano im klękać wzdłuż drogi z obu stron dwoma długimi liniami i klęczeć ze spuszczoneymi głowami. Klęczeli, patrząc chciwie na zieloną trawę nad rowem.

Słyszeli, klęcząc ze wzrokiem wbitym w ziemię, że spośród nich wywołują policjantów: Butrymowicza, Pilezuka, Minkowskiego, Pisarczyka Stanisława, inż. Pisarczyka Franciszka, lesników Bućkę i Apalkę, komornika Bazylkę, gospodarza Małachowskiego, wiejskiego chłopaka Bepirszcza — razem 27 nazwisk. Klęczący znali te nazwiska — to byli więźniowie z celi śmierci.

Jakieś kroki. Pewno tych dwudziestusiedmiu odprowadzają do więzienia z powrotem... Słońce czerwcowe dochodzi do zenitu. Zbliża się południe. Pragnienie męczy, plecy i kolana boją. Głowy podnieść nie można, bo biją kolbami.

Po 11-tej poczynają ich ustawiać w piątki na drodze. Krewni i przyjaciele tych skazanych, nie bacząc na ciele tych skazanych, nie bacząc na razy, na krzyki z „bocianów” tj. wieź strażniczych, wywołują nazwiska dwudziestu siedmiu. Ale ściany więzienia milczą, okna są zamknięte naглуcho.

Wzdłuż ogromnej kolumny 1600 ludzi siornowanych do marszu idzie czterech: prokurator, naczelnik więzienia, naczelnik NKWD i „bojce”. Ten ostatni chowa pod płaszczem karabin maszynowy. Weszli do więzienia.

Teraz przy każdej piątce staje „bojce” z naganem w rękę. Nie-

którzy mają karabiny i karabiny maszynowe.

Wiedzą już wszyscy o wojnie z Niemcami. Liczyli, że wrócą do domu. Teraz widzą, że zostana popeędzeni do głodnej Rosji.

Z więzienia wyszli ci czterej. En kawudzista śmieje się głośno.

„Dawaj!”

Kolumna rusza. Patrzą na sapałają ziemię wilejską jakby była czymś najcudowniejszym. Patrzą na wrzosowiska. Jeszcze idą przez kraj, którego poletka, wyrobione nabożnie, otaczają domki skomasowanych gospodarstw. Oczy ich łapią resztki polskich napisów na drogowskazach.

Wieczorem nocują w rowie. Otrzymali po bochenku chleba na osmiu i po 12 kostek cukru.

Na drugi dzień, 25 czerwca, ruszają w drogę, nie otrzymawszy pożywienia. Idą cały dzień. Od czasu do czasu przelatują samoloty niemieckie. Wówczas 1600 więźniów i 320 konwojentów leży długie chwile w rowach. Wieczorem, po całym dniu marszu bez jedzenia, są wycierpani do niemożliwości. Kraj obfituje w wodę, ale im nie pozwolono pić. Każą im się kłasić ściśle jeden przy drugim. Łańcuch straży otacza stoczonych ludzi mających o wodzie.

O świecie eskorta każe maszerować. Więźniowie — to przeważnie ludzie starsi. Są i całkiem starzy. Po dwóch dniach marszu nogi mają obolałe i przez straszliwe pragnienie, nie czuć nawet głodu. Tyśiąć sześćset ust powtarza słowo „pić”.

— Nie podochnieć (nie zdechnieć) — mówią enkawudzisci i naglą do drogi. Kilku starców nie może

„HEJ, CHŁOPCY, BAGNET NA BRONĀ!”

Ulubiona piosenka walczącej Warszawy, śpiewana przyciszonymi głosami na zbiórkach harcerskiej, na pozamiejskich ćwiczeniach oddziałów A.K., poszła z chłopcami do lasu, i podawana z ust do ust — przeszła całą Polskę. Poczęta w podziemiach w pierwszych godzinach Powstania, zadźwięczała młodością, jak fanfara.

Warszawa wzięła piosenkę na własność. Wszystko było w niej swoje: i rytm zawadiacki, i melodia, która sama wchodziła w uszy, i słowo, które miały w sobie gorączkę oczekiwania:

„bo kto wie, czy jutro, pojutrze,
czy dziś
przyjdzie rozkaz, że już, że już
trzeba nam iść,
granaty w dłoni i bagnet na
bronni.”

Pamiętam, któregoś wieczora biegłam z pospiechem przez puste ulice przedmieścia Warszawy. Wskazówki zegarka zbliżyły się do godziny politycznej. Patrole niemieckie już weszły na ulice miasta. Nagle posłyszałam za sobą tupot nóg. Skrzyknęłam do najbliższej bramy i ostrożnie wysunęłam głowę w kierunku zbliżających się kroków: biegło dwóch ludzi. Nim dojrzałam ich robociarskie bluzy i młodzieńcze twarze, usłyszałam cicho gwizdana przez zęby melodię: ... „granaty w dłoni i bagnet na bronni!”

Dobiegła mnie ta melodia z czarnej, ziej nocy, jak braterskie powitanie, jak rzucony w ciemności odzew „swoj”!

Nie wiedziałam wówczas, kto jest autorem tej pieśni.

W rok po Powstaniu, w sierpniowym skwarze szłam Długą ku Staremu Miastu. Jakiś oddział

sowiecki zakwaterował się w domach naprzeciwko Ministerstwa Sprawiedliwości. Żołnierze kręcili się koło kuchni polowej, która stała na chodniku. Przedemną dwie młodzianki uczennice. Jedną z nich jasnowłosa, bardzo dziewczęca, powiedziała: — Kiedy szli do ataku, to śpiewali „Hej chłopcy, bagnet na bronni!” Właśnie tu, w tym miejscu zaczęli śpiewać. Ciągłe o tym muszę myśleć, że tu właśnie zaczęli śpiewać.”

Dwa wątle, przyciszone głosiki dziecięnie zanuciły melodię piosenki, którą zagłuszali sowieccy żołnierze, klóący się przy kuchni polowej.

Dopiero we Włoszech dowiedziałam się, że piosenkę tę napisała Krystyna Kraheńska*). Napisała również piękny „Kujawiacek”, tak często śpiewany przez A.K. w obozach jenieckich:

„W tę kujawską ziemię, w tę
kujawską czarną,
Padło gęstym sieciem krwi braterskiej ziarno,
Leczy w niej głęboko.
Złote i gorące,
Czeka tylko wiosny, słońca”.

*) Krystyna Kraheńska (pseudonim Danuta) urodzona w Mazurkach na Polesiu etnografka, magister Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie. W konspiracji pracowała w wywiadzie wschodnim w latach 1941-42, zaś w latach 1943 — 1944 w sanitariacie. Jasnowłosa dziewczyna o zielonawych oczach, pełna osobistego uroku, prawa, szczerza i bezpośrednia. Pełna poczucia humoru, kochana przez otoczenie. Przywiązana całym sercem do Polski, specjalnie do jej ziem wschodnich. Poetka i interpretatorka pieśni białoruskich i ukraińskich. W roku 1942 pracowała jako kurierka na Polesiu, otoczona opieką ludności miejscowej, która ją znała i kochała. Mówiono tam: „gdzie przeszła Danuta, zostawała za nią smuga światła”. Poległa śmiercią żołnierską w Powstaniu Warszawskim, jako sanitariuszka przy plutonie 7 Pułku Ułanów na Polu Mokotowskim, dnia 1 sierpnia 1944 r.

Aż dziwno pomyśleć, że tej dziewczyny już nie ma. Zbieram i notuję w pamięci wszystko, co wiem o niej, ale jakże opowiedzieć można, gdy przy imieniu młodoci trzeba postawić krzyż śmierci.

Krystynę Kraheńską spotykałam jeszcze przed wojną na odcinku prac, związanych z zagadnieniami narodowościowymi. Spotykaliśmy się we trzy z Krystyną Kraheńską i Barbarą Poniańską. Łączyła je przyjaźń i wspólna praca. Obie były zapalonymi wyznawczyniami idei zgodnego współżycia i współdziałania narodów, zamieszkujących między innymi bałtycko-czarnomorskie. Obie były rozmiłowane w Wołyniu i Polesiu. Krystyna, muzykalna i obdarzona wrażliwością artystyczną, rozkochana była w pieśniach białoruskich.

Wśród pieśni, napisanych przez Krystynę w czasie wojny i często śpiewanych przez A.K., piosenka p.t. „Kołysanka” oparta jest na motywach białoruskich. Jakieś dalekie echo z nad bagien Dziatwilińskich, z nad jezior Brzławskich płynie przez melodię tęskną i rzewną:

„Smutna rzeka, usnął las cienisty,
Srebrne gwiazdy spadły w ciemną
toń,
Gdzieś po polach, gdzieś po lasach
mglistych
Czućnie drzemie zakopana bronń”.

Krystyna pracowała w Warszawie w dziale pieśni regionalnych, wykazując talent muzyczny, głęboką inteligencję i polot. Była przecież urodzoną pieśniarką i poetką tylko, że do tej poezji przed nikim przyznać się nie chciała.

Po klęsce wrześniowej zaszyła się w konspiracji. Z całkowitym oddaniem, bez reszty, całą duszą.

Kiedyś, ktoś, kto jej nie znał, musiał ją spotkać w sprawie organizacyjnej na ulicy. Krystyna ze zwykłym sobie cudownym, młodzieńczym humorem dała swój rysopis:

— Powiedz mi: wysoka blondynka, wygląd prowincjonalny — zaraz mnie pozna!

Ale to tylko w jej oczach „wygląd prowincjonalny” był jej cechą rozpoznawczą. Dla nas cechą istotną była jej pełna zapału i werwy młodzieńczość. To był typ dziewczyny kresowej.

Kiedy w podziemnej Warszawie zaczął wychodzić miesięcznik „Ziemię Wschodnie Rzeczypospolitej”, nie zdziwiłam się wcale, gdy w pracy tej natknęłam się na Krystynę. Jak zawsze była niezawodną, niezmordowaną — prawdziwą uosobieniem wytrwałości i pogody siły i zdrowia.

W pierwszym dniu Powstania szła do ataku na redakcję „Gardzinówki” warszawskiej — od strony pół mokotowskich. Została

ciężko ranna w pierwszych godzinach walki. Gdy koledzy chcieli jej dać pomoc — uniosła się z trudem i swoim jasnym, doniosłym głosem krzyknęła ku nim: — Nie podchodzić, tu gęsto padają kule! Ale jeden z kolegów nie słuchał

jej wołania — podpełził do niej i padł ranny. Wtedy Krystyna raz jeszcze krzyknęła:

— Nie wolno podchodzić, ja sama...

Przywarła do ziemi, młodzieńczą głowę złożyła między brzozy. Od miasta szedł ku niej potężny

odgłos walk powstańczej Warszawy.

Tak w dniu pierwszego sierpnia 1944 roku zginęła Krystyna Kraheńska, autorka piosenek, śpiewanych przez żołnierzy Armii Krajowej.

WANDA HEBLEWSKA

JESZCZE O GRENADIERZE

W jednym z ostatnich numerów „Ochotniczek” ukazał się artykuł „Kobiety w Powstaniu” pióra p. Natęcza podaje tam kilka szczegółów, dotyczących żołnierza A.K. „Grenadiera”.

Znam kilka dalszych szczegółów pracy „Grenadiera” w Powstaniu i pozwalam sobie przelać je Redakcji „Ochotniczek”.

„Grenadiera”, 18-letnią Teresę S. — poznałem w zimie 1943 r. Była to mała blondyneczka o niebieskich oczach i czerwonych policzkach. Nazwaliśmy ją „żandarmem idealizmu”, tak była pełna zapału i tak gorąco broniła swych ideałów. Gniewała ją to i potrząsając czupryną, wołała: „Zobaczycie jeszcze!”

Wybuchło Powstanie. Teresa na długo znikła mi z oczu. Zobaczyłem ją pewnego dnia na jednej z ulic Mokotowa. Szła z teczką pod pachą. w przydługim kombinezonie. Zmierzyłem ją krytycznym spojrzeniem od grzywki niesfornych włosów po przez białoczerwoną opaskę i niemiecki pas z napisem: „Gott mit uns”.

— Serwus! Co robisz?
— Jaki to co? — zawołała oburzona — w wojsku jestem.

— W tym babskim — mówię z ironicznym uśmiechem, myśląc o sanitariuszkach lub łączniczkach.

— W linii — prychnęła ze złością. — Czemu mi dokuczasz? O dwa lata tylko starszy odemnie, a udaje wielkiego wojska!

— A co masz w tej teczce? — pytam z powagą, jaka przystoi jej belce.

— Granaty! — obwieszcza mi z triumfem. Wykręca się na pięcie i odchodzi.

Potem dowiedziałem się z komunikatów, że w akcji na Puławskiej Grenadier zniszczyła niemiecki czołg i trzymała w szachu dwa samochody. Koledzy powiedzieli o niej: „Cud dziewczyna!”

Spotkałem ją w tydzień później. — Serwus bohaterko!

Teresa napuszyła się po swojemu, a potem nagle lży załżyły w jej niebieskich oczach.

— Przestań... — powiedziała cicho.

Robi mi się strasznie głupio i czuję sam, że mam bardzo nie kapralską minę. Przekora jednak bierze we mnie górę.

— A temu dasz radę?
Bez namysłu, kilkoma wprawnymi ruchami Teresa rozbiera „na proszek” podany jej pistolet — pistolet przeklinany przez dowódcę mego plutonu, kolegów i przyjaciół. Rozbierali go bowiem pół godziny, a przy składaniu jakiś „włajster” zawsze zostawał...
Byłem zdruzgotany.

— Wiesz, z ciebie to naprawdę „Grenadier...” przyznałem wreszcie.

Grenadier była wszędzie. Norbert jest głodny. Wrócił z pla-

cówki. Nie jadł trzy dni. Za chwilę ma już kielbasę i biały chleb... Kto to wytrzasnął? Grenadier.

Wilk nie ma amunicji. Klnie, aż Grenadier zatyka uszy. Ale po chwili są już dwa magazynki.

Felek ma gorączkę i bredzi. Ranny w brzuch. Dostaje zastrzyk uspokajający. Kto się o to postarał? Grenadier...

Aż wreszcie przyszła straszna noc. Noc przed kapitulacją. W piwnicy na Batuckiego spotykam Teresę. Domy wałęsają się koło nas. Nawala artylerii... Wyją nebelwerfery. Teresa jest jeszcze mniejsza, ale za to oczy ma dziś jak dwa talerzyki.

— Zmęczony? — pyta cichutko.

Tak. Jestem strasznie zmęczony. Spać, spać, spać! Nie spałem całej nocy. Spać — wszystko jedno, co będzie wokół — spać, choć godzinę, choć pół godziny! Teresa bierze ostrożnie moją głowę na kolana i rozluźnia rzemień hełmu. Śpię. Budzi mnie cisza. Jest cicho i szaro. Świta.

— Idziemy... — mówi ktoś szepcąc.

„Grenadier” zapina mi hełm i cąkuje długo, gorąco. Jakże te bękit ne oczy mogą być smutne...

— Idź — mówi.
Ruszamy do ostatniego przeciwnarciarza. Następnego ranka nad Mokotowem powiewały już białe flagi.

KPR, PCHOR. „ŚLIWKA”

TADEUSZ SUŁKOWSKI

DO MUZY

Jedno niebo pełne raków i panien, —
jedna ziemia dana łaskawie
cóż mi z tego, że wiersz po trosze zostanie,
kiedy siebie tą troską nie poprawię.

Stoję w szczęściu, niedotknięty i ślepy,
gdy po sercu się tłucze sztuka twarda
cóż z tego, że wiersze śpiewają jak flety,
a życie? a prawda?

Cienie białe idące tak sobie
jak woda i zamyślenie
nad tym co mam i co robię,
a co także jest cieniem.
Myślałem, że jak się będę spieszył
prędzej przejdę strumieniem i ziemię
teraz chce iść powoli i stateczniejszy,
jak wód i woda i zamyślenie.

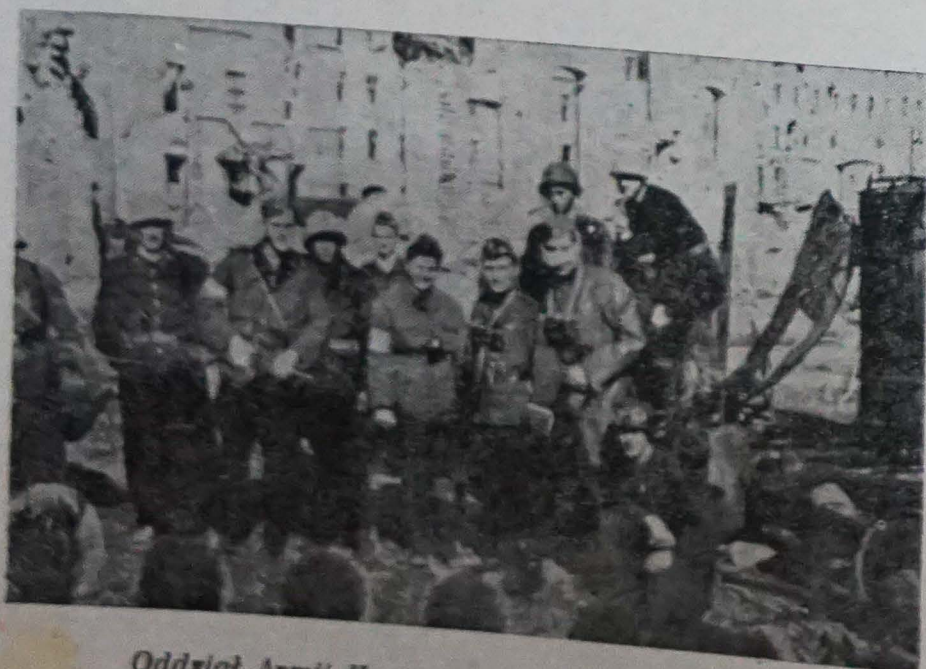
Za oknem przy dachach czerwonych zieleni
i uliczka z porannym szumem —

Zaplatany w koziorożce, panny i wagi,
szczur rudy, biegnę i piszczę
są strofy, ale nie ma rady
na życie od tych koziorożców lichsze.

W najgorszym i w najlepszym jak w domu,
wiem, że nie wszystko w liter śpiewie —
muzo, nie wierszom, ale mn'e pomóż,
z wierszy radość, a serce nie wiedziało i nie wie.

O BŁOKI

Czy to nie wystarcza, czy to nie wiele
ten czerwony i zielony argument?
O, żywocie człouśnika pocziwego,
z mącą po południu brzęcząca!
Z wszystkich mędrców ciebie wolam jednego,
hys powiedział co to znaczy i po co?
Tak ryć siebie na wszystkim, jak na tarczy
— ile myśli, ile siły, ile zdaje —
choć ta siła we mnie tyle znaczy
co lwy na świeczniku — w niezwywym brzozie.



Oddział Armii Krajowej w walczącej Warszawie

BUTY DLA STASIA

PAMIĘCI WINCENTEGO SAKSA

Kłopotów najwięcej miał Wincenty.

Pracuje w Radzie Opiekuńczej. Chora ma nogę. Więc, jak Biernat, który także utyka, kuśtyka dzień cały po podwórkach. Zna wszystkich. Ze wszystkimi też dzieli ich strapienia. Teraz na przykład — co począć z rodziną krawca Grządki? A buty? Kto właściwie postara się o buty dla Stasia?...

Pracuje ponadto w tak zwanej Akcji Pomocy Doraźnej Szklanych Domów („Spółdzielnia Lokatorów Spółdzielni i Mieszkaniowej”). Spółdzielnia Spółdzielni, tak, jak Związek Związków — dwa grzyby w barszczu. Coś w rodzaju „Kropki mleka”, tylko na samorządowo, spółdzielczo i socjalistycznie. A więc, jak to u nas, pod wezwaniem Żeromskiego. Odrzuć: Szklane Domy... Ale rytuał oczywiście taki sam. Kandydaci na rewolucyjnych urzędników czemuż by mieli być lepsi, niż przedrewolucyjni urzędnicy? Wiadomo: nie są lepsi. Są — gorsi. Więc Wincenty — ma nowy kłopot...

Zawsze tak bywa. Jeżeli ktoś z gotowością swoją do działania, do pracy, do pomocy, przerasta otoczenie, to z natury rzeczy wali się na niego nadmiar obowiązków. Tak jest wszędzie. Rzecz każda bowiem, nawet najdrobniejsza ma to do siebie, że ktoś musi ją wymyślić, przygotować a potem po prostu zrobić. Jeśli ta rzecz jest z drzewa — to wyrzezać, wyciąć. Jeżeli z kamienia — to wylupać, wyrąbać, wyciosać, jeżeli z ciasta — jak chleb na przykład — to wmięścić, uformować, upiec. I tak dalej.

Podobnie zupełnie w konspiracji. Te „Szklane Domy” to kręciek Wincentego. „Trzeba pilnować” — powiada — „Zarząd klubu esperantystów opanowali rozłamowcy”... Prawda. Także szachistów klub zwariował. Nie uznaje londyńskiego Rządu... „Nie lewiej” — powiada — „u filatelistów”...

— Co u filatelistów?
— Werbują do A.L.
— U mnie w pralni — mówię, aby go pocieszyć — żadne takie „ale”. (Byłem w tych latach wiceprezesem pewnej pralni). — Mucha nie śladzie... Od słowa do słowa ieszcze z kilkoma przyjaciółmi — był wśród nich Piontek — robimy pośpieszny obrachunek. Na „Szklaniaka” istotnie należy postawić krzyżyk. Same „byki”*, w „Spo-

łęcznym”**) zupełna jacejka... — To już nie jest frakcja — konstataje Wincenty. — To jest rozłam.

Tak. Niestety, nie mylił się. Rzeczy posunęły się zbyt daleko. Trzeba na gwałt zmieniać aparat, wyzaczarować spod ziemi nowych ludzi. A nade wszystko przeciąć pewne kontakty i — nawiązać pewne kontakty. Wszystko to, oczywiście, pod ciśnieniem śmiertelnych niebezpieczeństw.

Niebezpieczeństwo Wincentego było podwójne. Pomimo niewątpliwej polskości uczuć i jakiegos tam re-



O buty w Polsce dziś trudno...

formowanego wyznania, fakt biologiczny pozostawał faktem. W świetle tzw. ustaw norymberskich był Wincenty — Żydem.

Zdawał się o tym nie pamiętać. Wieczorami, gdy ściemniło się i gdy jego rysy, — rysy człowieka skazanego na śmierć — miały pewną szansę, że pozostaną nie rozpoznane, jeździł lekkomyślnie do miasta.

Urządzaliśmy wtedy pewien kurs u pani Janiny. (Nie u pani Janiny M., tej od piątkowych koncertów. U pani Janiny P. — od prehistorii). Na ten kurs miał przyjechać Stas. Wincenty nosił przy sobie list od Stasia. Był w tym liście także ustęp jeden, który mu zatruwał spokój. Stas przypomniał miłowicie, że pełni nie natarczywie, ale przypominał — buty... Więc nowy kłopot.

Wielką odpowiedzialnością jest kształtowanie czyjejs duszy. Nie wystarczy obudzać potrzeb. Trzeba je także zaspakajać. Nie wystarczy napisać artykułu — wydrukować... Trzeba jeszcze gazetkę posortować, ułożyć numery wedle rozdzielnika,

zapakować. A nade wszystko — roznieść. I chleb jest ważny dopiero w zetknięciu się z żołądkiem ludzkim. Ta droga, zdawałoby się taka prosta — jakże jest jednak daleka i — trudna. Dopiero co czytaliśmy o klęsce głodu grożącej Europie. O iluś tam milionach niedożywionych dzieci. Czy chleba jest może za mało? Nie. Tylko kolportaż szwankuje. Kolportrzy światowi nie stoją na poziomie Wincentego...

A Wincenty ma kłopot. Jak zdobyć buty dla Stasia?...

Z tymi butami to była cała historia.

Z chłopcami, jak wiadomo, zawsze tak: albo nie ma nikogo, albo — od razu — jest legion. A wszyscy nieomal — bez butów...

Stas pochodzi z biedoty wiejskiej. Zaakwirował go dla Wincentego pewien kolejarz. Miał rodzinę w sąsiedniej wiosce. Istnieją między regionem Wielkiej Warszawy a jej Mazowieckim zapleczem liczne związki. Znają je dobrze urbanieści, opracowujący tak zwany region Wielkiej Warszawy. Od Czarska nie tylko wody spływają wraz z rzeką ku stolicy. Odbywa się w tym kierunku także systematyczny ruch ludności. Na Mazowszu Płockim jest podobnie. Choć Wista zmierza do Gdańska, ludzie i stamtąd ciągną do Warszawy. Ale już nie tak nagminnie. Przeciwstawia się urbanizacji zamożność żywnych Kujaw i księżackie tradycje łowickiego. Działał także przed wojną sezonowy magnes pruski.

Teraz to wszystko oczywiście należy do przeszłości. Wyrosła nowa granica. „Prusy” zamiast, jak dawniej wysysać sezonowo żywą siłę robczaj, podeszły od tej strony pod samą niemal stolicę.

Zaczęło się od Stasia. Przyszł zimą roku czterdziestego pierwszego z tym kolejarzem. Miał czteroklasową szkołę za sobą i lat siedemnaście. Teraz ma lat dziewiętnaście i — korespondencyjny uniwersytet robotniczy Wincentego...

Za Stasiem wala do miasta chłopcy wiejscy z czterech wiosek. Zjazd, czyli Wielki Dzień na Żoliborzu. Wielkie sprawy! Wielka polityka! Wieś i miasto... Sama historia, rzecz można, ociera się skrzydłem o półtoraizbówkę Wincentego. A Stas dalej, jak chodził, tak i chodzi bez butów.

Obiecał Wincenty raz pewnego te nieszcześnie buty.

Kłopotów zaś, jak się rzekło, miał Wincenty najwięcej. I ze „Szklanymi Domami”, i z klubem filatelistów, i z esperantystami i z szachistami, i ze spółdzielnią zabawkarską, (ze spółdzielnią szklarską, bo w tym czasie zarabiał na życie jako szklarz). Po jakimś walnym zebraniu przybył kłopot nowy: ze spółdzielnią księgarską. Ale to wszystko nic. Skąd wziąć buty dla Stasia?

Istotnie. Skąd wziąć? A tu jeszcze, jak na złość, zbliża się 7 maja.

— Fatalny miesiąc maj — powiadam — same rocznice: 1 Maj, 3 Maj, 7 Maj...

— Co to było 7 maja? — pyta „cichy pęk” Piontek. Ale czujemy, że, jak zawsze, gotów jest do śmiechu nawet z najszanowniejszych tradycji. Więc Wincenty uroczyście:

— Tego dnia ogłosił Kościuszkowski Uniwersał Połaniecki...

— Nie mogąc cześcić się rocznicy, przypięną Piontek łatkę przynajmniej samemu historykowi.

— E, bo wy z tymi rocznicami. Pijnajcie ich, jak weksli. Kiedyż to było! Która to rocznica?

Bo istotnie. Zaraza z tymi rocznicami, Wincenty zamęcza nas swą historyczną buchalterią. Dopiero co były Raclawice, a 12 maja umarł Marszałek Piłsudski... Pewny magii okrągłych cyfr, mówi Wincenty niby od niechcenia:

— Która rocznica? Otóż właśnie! Stopiećdziesiąta!

Milknijemy. Tylko pani Janina stuka ołówkiem o bloczek gestem takiej determinacji, jak gdyby chciała nam wybić jakiegos ćwieka z głowy. Wyrównujemy więc na tychmiast szereg.

— Stopiećdziesiąta... — powtarza poważnie Piontek. — Ha, trudno Bedziemy ją wobec tego święcić...

Punktem kulminacyjnym uroczystości miał być Zjazd Chłopców, zorganizowany przez Stasia.

Gdy rozwiązano pomyślnie sprawę żywienia i kwater (z żywnością nie będzie kłopotu, bo chłopcy przyniosą ze sobą żywność) i ustalono cały program powitania — dla nas sprawa została wyczerpana. Każdy powrócił do swoich właściwych zajęć. Ale nie Wincenty. Ktoś bowiem — u licha — musi postarać się o te buty dla Stasia.

NIKT NIE KRZYCZAŁ

Traf zdarzył, że znalazłam się w kinie żołnierskim w Rzymie na jakimś filmie gangsterskim. Było dużo hałasu, wywracania sprzętów i nieustannej strzelaniny. Wszystkie mu temu towarzyszyły uciekające tłumy, które krzyczały jednym tchem. Poprzez ten zbiorowy zgiełk przebijaly się cienie, przeraźliwe głosy kobiet. Doświadczeniem wojennym oceniłam, że strzały są rewolwerowe i że nie ma powodu do takiego aż popłochu, biegania i wrzasku!

I wtedy nagle uświadomiłam sobie, że tam w Warszawie, w czasie Powstania — nikt nie krzyczał. Były granatniki. Padaly pociski artyleryjskie i bomby walily w domy, a mieszkańcy miasta byli wśród tego wszystkiego — cisi... Zwyczajnie i spokojnie pchali swój dzień powszedni. Gotowały się obiady, celebrowaly prania, ba, nawet froterowały posadzki.

Stało się bowiem punktem ambicji Wincentego: nie zawieść Stasiowych nadziei. Miare butów miał od dawna. Pieniądze jakimś cudem zdobył. Teraz, chociaż sam kaleka, na chorej nodze kuśtyka radośnie przez moje podwórko. Niesie białą nowiutką skórę. Będą buty! Będą na stopiećdziesiątą rocznicę długie, „oficerskie” buty dla Stasia. Tyle przynajmniej...

Tymczasem w pierwszych dniach maja zaczął się ruch wśród młodzieży. Przyjeżdżają, wyjeżdżają... Brzemienne nadzieją, wypieszczone, jak pierwsze zwierzenia zakochanych i, jak te zwierzenia wypowiedziane szeptem, ale z sugestywną siłą zaklęcia, — wstrząsnęło rytmem dni okupacyjnych dziwne słowo: *koncentracja*... Ożywcze jak prawdziwy wiew lasu w dusznej atmosferze miasta. Zaraz lżej było oddychać, tak w Warszawie zapachniało zielonością. Zaraz też buty podskoczyły w cenie. Tyle par... Młody Grządka — ten, który ocalał, biega jak szalony. Miał upatrzoną parę u znajomego szewca. Spód nosa mu ją sprzątnął Sobolak!

Przyjechał Stas. Siedzimy z nim w mieszkaniu Wincentego. Ogadujemy szczegóły jutrzejszego zjazdu. Coraz to wpada któryś z naszych młodych przyjaciół. A to pożyczyc plecak, a to po list, a to dać na przechowanie jakies osobiste drobiazgi. Nikt nie mówi o istotnej przyczynie pośpiechu, nikt o nic nie pyta. Nie ma żadnych pożegnań. Ale wszyscy — wiedzą.

Wie oczywiście także Stas.

Siedzi teraz na kufereczku obok łóżka Wincentego. Wyciągnął przed siebie nogi. Lénia połyskiem świeżo wyczyszczonych cholew. Ma je. Ma nareszcie pierwszy raz prawdziwe, długie buty! Stas jest jeszcze na wpół dzieckiem. Gdy Wincenty

wręczył mu ten upominek, zarmienił się i z nadmiaru wrażeń chciał Wincentego pocałować w rękę. Prawie przez łzy szepnął „dziękuję” i zaraz usiadł na kufereczku. Zmagał się długo ze swymi rozdeptanymi stopami zanim je wbił w buty. Jakos poszło. Siedzi teraz szczęśliwy i omawia szczegóły Zjazdu. Ale coraz to spogląda na cholewy. Dotyka ich palcami, Pieszczotliwie gładzi. Bo też błyszczą!...

Byliśmy właśnie przy omawianiu referatu ideologicznego gdy wpadł młody Grządka. I on dzisiaj wyrusza. Już w ubraniu podróżnym, z teczką, w jakichś atoli żałostnych „trampkach”. Wpadł, co z Wincentym poszeptal... Wincenty się zachował — więc Grządka wprost do Stasia:

— Stasiu, może byś mi odstąpił swoje buty?

— Grządka! — krzyknął nieomal — co wy! — Bo mi się zrobiło żal Stasia. Jutro Zjazd... Kiedyż ma Stas wystąpić w lśniących cholewach, jeżeli nie jutro na Zjeździe. Chociaż także i tamten...

Sprawę przesądził Stas. Już się rozzuwa...

— Masz — mówi ucieszony Grządka i wyciąga do Stasia rękę ze zwitkiem banknotów. — Kupisz sobie inną parę.

— Nie, — odpowiada Stas, lekko czerwieniejąc. — Tobie mogą się przydać.

— Stasiu — poczęliśmy nalegać.

Jeszcze bardziej poczerwieniał, podkurezył nogi, ku samemu kuferekowi, na którym siedział. Upart się. Wszystkie nasze nalegania, że istotnie, może sobie kupić inną parę, chociażby jutro z rana — zbył krótko, odsuwając pieniądze.

— Nie, nie. Bo ja... ja lubię chodzić boso.

WIESŁAW WOHNOUT

pierwszej pomocy. Na tym samym podwórzu o zmroku tworzył się *cerce* towarzyski: czytano głośno komunikaty, słuchano radia, dzieci starały się odprężyć chwilą swobodniejszej zabawy, a sąsiadki udzielały sobie gospodarczo-kulinarych rad, obliczając na ile jeszcze dni wystarczy im uzbierany zapas mąki i kaszy.

Zapadał wieczór. W klatce schodowej, jak codzień, klęczeli ludzie. Przed obrazem Matki Boskiej na załamaniu schodów paliły się świece.

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Uderzył pocisk. Tym razem w nasz dom. Potem drugi i trzeci — obok.

— Dyżurni na strych! — rozległ się spokojny głos komendanta. Przez wybite okna słychać brzęk kubłów z wodą.

— Przyjdź Królestwo Twoje...

NASI NAJMŁODSI W AFRYCE

Zaledwie parę tygodni upłynęło, odkąd ich pożegnałem. Mam jeszcze oczy pełne tych blondasów i czarnulek, piegawatych, zadzierzastych chłopców, długonogich dziewczyn tak łatwo „piekących raka” i tych najmniejszych, co w salkach przedszkółka jeżdżą sobie po podłodze w dalekie swiaty tekturowymi pociągami. Mam jeszcze w uszach radosny pisk młodej Ewuni, jasnej, jak słoneczny promień, żądającej kategorycznie, bym ją na plecach po całym osiedlu obwoził. Wielu z nich prosiło mnie, bym ich Tatusia w wojsku odszukał, opowiedział o nich i uściślał. Dużo tych tatusiów jest... setki, tysiące. Przyjmijcie Koledzy, te serdeczne słowa — od dzieci.

Ognisko harcerskie. Bucha jasny płomień, ciemna noc afrykańska otacza nas zwartą ścianą. Na czarnym niebie przekrzywiony Krzyż Południa. Płynięcie pieśni. O żołnierzu, co to „borem lasem...”, o „Karpackiej maszerującej”. A jak zaszumiały „kaczki za wodą, gęsi za wodą...” rzucaliśmy przed dziewczyny nie rekawicę, ale kapeluszyk i wyzywałem je „na udeptaną trawę” do kujawia-ka — po drugiej stronie równika, w Kenji, Ugandzie, Tanganyice...

Mam w oczach zwinne postacie chłopaków — harcerzy, z którymi włożyłem się po dziewczym lesie, przez rwące strumienie, przez gąszcz ciemny, zbity — z takimi prawdziwymi „śladopytami”, po afrykańskiej dżungli!

W pogaduszkach koleżanki w mundurkach harcerskich mówiły, że właśnie tu, w tej świetlicy - chacie, krytej strzechą z trawy sioniowej — w godzinach pozaszkolnych, spełniają dobry uczynek harcerski (ha, czyn obywatelski!).

— My tu, druho, uczymy czytać i pisać taką grupę starszych, co

dawniej czasu czy możności nie mieli... To takie nasze małe kółko „zabijania ostatniego analfabety”.

W jednym z osiedli w Ugandzie, w świetlicy „Wilczków” przeczytałem na honorowej ścianie napis. (kulfony okropne; w szkole, od nauczyciela kaligrafii dwóją murywana, ale słowa!)

Wyrwidębów gromada,
O dzielności nie gada,
Mówi za nich ochota,
Serce szczerze, jak złoto,
Czyste, jak iza...

No i co Czytelniku? Co my, rozżaleni na wszystko i wszystkich, krytykujący, narzekający i zniechęceni — co my takim szczeniakowi... przepraszam — takiemu „Wyrwidębowi” powiemy?

Leży przedemną zestawienie statystyczne naszego afrykańskiego szkolnictwa. Jest w tej wschodniej Afryce naszej młodzieży niemało. Do szkół polskich uczęszcza tam... 7.577 dzieci.

Siedem i pół tysiąca — liczba młoda sama za siebie. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w całej Afryce wschodniej jest naszej ludności 18 i pół tysiąca — zdziwimy się, jak olbrzymi jej procent stanowi ucząca się młodzież. Podział tej liczby na rozmaite szkoły przedstawia się następująco:

19 szkół powszechnych	ucz. 5051
7 szkół śr. ogólnokształc.	„ 1340
8 szkół śr. zawodowych	„ 800
2 niższe szkoły zawod.	„ 40
11 przedszkoli	„ 346

Prócz tego w angielskich szkołach (Technical College w Pietermaritzburgu i Cape Town) mamy 74 polskich uczniów.

Nasze szkoły średnie — to gimnazjum i liceum (humanistyczne). Szkoły zawodowe — to gimnazjum kupieckie (w sumie ucz. 232), gimnazjum bieliźniarskie (ucz. 37), gimna-

zjum krawieckie (ucz. 177). Państwowa Szkoła Mechaniczna (ucz. 72), Państwowa Szkoła Rolnicza (ucz. 37), Żeńska Szkoła Przysposobienia Gospodar., (ucz. 19), Szkoła Muzyczna (ucz. 240). Cyfry statystyczne trzeba umieć czytać i zestawiać z potrzebami życia. Patrzę na liczbę młodzieży, uczęszczającej do gimnazjów ogólnokształcących i do liceów humanistycznych (1340 ucz.), w zestawieniu z liczbą 800 ucz. szkół zawodowych — w tym do Szkoły Muzycznej aż 240, a do Szkoły Mechanicznej tylko 72! Nie mogę pozbyć się przykrego uczucia, że coś jest nie w porządku, że w gospodarce naszym materiałem młodzieżowym popełniamy błąd. Czy nie poszło się po linii najmniejszego oporu?

Wiem, że znacznie łatwiej zorganizować na obczyźnie gimnazjum i liceum ogólnokształcące. Przy zakładaniu szkoły zawodowej są duże trudności ze zdobyciem programów, sprzętu i fachowych sił wykładowczych. Ale trudności te tylko w pewnej mierze tłumaczą owe dysproporcje. Szkoła ogólnokształcąca, jak zresztą sama nazwa wskazuje, daje tylko wykształcenie ogólne — podkład pod dalsze studia fachowe. A przecież ogromna, przyniatająca większość młodzieży odrazu po skończeniu szkoły średniej będzie musiała stanąć do walki o byt, pracować i zarabiać. Do tego przygotowana może tylko szkoła zawodowa.

I jeszcze jedno: W spisie szkół zawodowych nie ma ani jednego Seminarium Nauczycielskiego ani jednego Liceum Pedagogicznego! Czyżbyśmy jeszcze nie dość jasno uświadomili sobie tragiczny fakt, że szeregi nauczycielstwa polskiego zostały w tej wojnie nie zdziesiątkowane, ale po prostu w swojej ogromnej większości zlikwidowane? Że przez sześć lat okupacji wróg systematycznie — jak tylko „dokładny” Niemiec potrafi — spychał nasz naród, a zwłaszcza naszą młodzież do roli niedouków, pół i pełnych analfabetów. Że jest dziś wśród tej naszej młodzieży samorzutny — i jakże zrozumiały — ped do uczenia się? I że nauczyciele — niedobitki, są wciąż ci sami, z bardzo już dawnych przedwojennych lat, że jest ich coraz mniej, bo nowa „zmiana”, nowe „uzupełnienie” nie przybywa?

Zagadnienie uzupełnienia kadry nauczycielstwa jest sprawą wielkiej wagi, jest doprawdy zagadnieniem przyszłości narodu. Powtarzam raz jeszcze, że w Afryce na 15 szkół średnich, na 2100 uczącej się w nich młodzieży — nie ma ani jednego Seminarium Nauczycielskiego!

Nie pytajmy: dlaczego tak się stało, stwierdźmy tylko, że mamy prawo, — my żołnierze, jak i każdy Polak, myślący o przyszłości — domagać się, by nasza młodzież mogła się przygotowywać do tego — jakże zaszczelnego i potrzebnego — zawodu.

A teraz o naszym nauczycielstwie w Afryce wschodniej. Po- wiem odrazu: dzieci nasze są tam w dobrych rękach!

O pedagogach, nauczycielkach i nauczycielach tamtejszych muszę pisać z największym uznaniem. Zrobili ogromną robotę. Przy swoich malutkich możliwościach, na „swoim podwórku” przedszkola, szkoły powszechnej, gimnazjum — stworzyli polską szkołę. Nie wiem, jak to wszystko dwa, trzy lata temu powstawało — oglądałem cud już dokonany. Mogę więc tylko sobie wyobrazić, ile trudu kosztowało zdobycie choćby tych ław i pulpitów szkolnych! Podręczniki płynęły z Ameryki, Londynu i Sekcji Wydawniczej A.P.W., zeszytów, ołówków, rysików i tabliczek dostarczał „War Relief Services”. Dziś, choć budynki kryje strzechą z trawy sioniowej, czy palmowych liści, choć okna przysłaniają nieznane w Polsce siatki od komarów, a na wieszadłach szkolnych wiszą rzędy hełmów tropikalnych — panuje tu prawdziwa polskość. To naprawdę ogromna zasługa naszego nauczycielstwa.

Według wykazu statystycznego, w Afryce pracuje 334 nauczycieli i nauczycielek. Wielu z nich brakuje fachowych kwalifikacji, fachowego wykształcenia, w wielu wypadkach potrzebna była i jest — improprowizacja. Ale jest w nich gorąca wola i ogromne poczucie ważności zadania.

Zwiedziłem w Afryce dwa większe skupiska naszych sierot: w Rongai i w Tengeru. Pierwsze prowadzi (jeszcze od Teheranu!) Siostry Nazaretanki z Matką Przeloną Reginą (Budzyńska Gabryela) a opiekują się tą ochronką saperzy 3 D.S.K. Drugą ochronkę, albo lepiej: drugą „Wioskę dziecięcą” prowadzi pani Zofia Grosicka z siostrami. Mówiąc o pracy tych kobiet, trzeba z największym szacunkiem i głęboką wdzięcznością schylić czoło przed ogromem serca, jakie w tę pracę wkładają. W sumie polskich sierot w Afryce jest blisko 600.

Jeśli ktoś zada sobie kiedyś trud utrwalenia w postaci książki dzieł polskiej sztuki scenicznej w latach tej wojny, będzie musiał w rozdziale traktującym o sztuce tej na obczyźnie, poświęcić parę stron — i to stron wcale ważnych — teatrowi dziecięcemu w ochronce pani Grosickiej. „Jasełka” czy „Noc Świętojańska” odegrane w jej reżyserii przez najmłodszych — to



(fot. inż. Ostrowski)

W polskiej szkole w Afryce

były już nie przedstawienia teatru dziecięcego, ale prawdziwe misteria odprawiane w autentycznej dżungli afrykańskiej. Tekst, muzyka, pomysłowość inscenizacji, bogactwo sporządzonych kostiumów — były bez zarzutu. Gra również. Dla tych szkrabów-artystów było to często prawdziwym przeżyciem, ale takim samym przeżyciem było i dla widzów. Słyszałem od pewnego zimnokrwistego, opanowanego i małomównego Anglika krótkie określenie: „niezapomniany cud”. I nie było w tym przesady.

Wyjeżdżając, dowiedziałem się o projekcie sprowadzenia tego teatru dziecięcego do Nairobi, centrum administracji i życia kulturalnego kolonii angielskiej, w celu dania reprezentacyjnych przedstawień na festiwalu sztuki, wprawdzie dziecięcej, ale nie mniej prawdziwej sztuki. Jestem święcie przekonany, że sukces będzie pełny.

Wychowanie pozaszkolne prowadzi tylko harcerstwo. Zastępy i drużyny „Wilczków”, zastępy, drużyny, hufce „kręgi harcerstwa starszego”. Ruch harcerski szerokim kołem objął naszą młodzież „afrykańską”. Harcerek i harcerzy jest tam ponad cztery i pół tysiąca! I nie waham się ani chwili użyć w stosunku do nich określenia: szczerze złoto!

W każdym osiedlu, choćby najmniejszym, są zastępy „Pracowitych pszczołek”, „Stokrotek”, „Wyrwidębów”, „Wedrowniczek”, „Kaczuszek wesolych”, czy jak się tam to wszystko nazywa. Pod tymi beztruskimi i roześmianymi nazwami, w kuźni rozmaitych zajęć, ćwiczeń, ognisk, gawęd i wycieczek pracuje się nad kształtowaniem charakteru młodzieży. Tam właśnie urabia się owe serca „szczerze, jak złoto — czyste, jak iza”, obowiązkowość, prawosł... Dużo jest tej młodzieży. Instruktorów mało. Szczególnie dla dru-

żyn i hufców męskich. Kilku starszych harcmistrzów, którzy w swej przymusowej wędrówce aż tam zawędrowali, kilku instruktorów harcerskich, przysłanych przez wojsko. A roboty — ogrom. Do tego musi się walczyć z „wiatrakami przesądów” i złym pojęciem samej istoty, samego założenia tego ruchu wychowawczego.

Czy znasz tę pieśń Czytelniku: „Idzie noc...”? Jeżeli nie — to za- huj!

...Ognisko harcerskie skończyło się. Zwolna dogasa żar. Dokoła staje poważny, milczący krąg. Ręce splatają się w braterskim uścisku. I wtedy w ańie „Idzie noc...” Spiewa się coraz ciszej i ciszej, tak, że słowa zgaduje się już ledwie... a w końcu pozostają tylko w sercu...

Gdy tak stał w kręgu bratnim, gdy czułem w splecionych dłoniach przekazany spokojny uścisk — myślałem: skąd bierze się w tej pieśni tyle uczucia? Skąd tyle powagi, a jednocześnie tyle prostoty? Dlaczego oni tak to spiewają?

I znalazłem odpowiedź: tak żegnać dzień, a witać noc nadchodzącą mogą tylko czysti duchem, spokojni w sumieniu, przeświadczeni, że dziś starali się być lepsi niż wczoraj, a jutro pracować będą nad sobą by stać się lepszymi, niż byli dziś.

Taka jest nasza młodzież.

INŻ. WIKTOR OSTROWSKI

PODZIĘKOWANIE

Za pośrednictwem naszego czasopisma „Ochotniczka” składam podziękowanie za opiekę i pomoc materialną w czasie mojej choroby: Inspektorce P. S. K. Płk. Wystouchowej Bronisławie, D-cy 316 Komp. Transp. P. S. K. Mjr. Trojanowskiej Marii, Lekarzowi Kompanii dr. Ogniewskiej Danucie, Paniom Komendantkom oraz Koleżankom.

kpr. MARYNOWSKA WALERIA



Dzieci polskie w Afryce

BEZ KROPEK NAD I

(O współżyciu)

Za idealny typ współżycia uważa się przyjaźń. Nie mniej określono ją tylko jako spółkę dwóch egoizmów. Inni posuwają się dalej, twierdząc po prostu, że jest to samotność we dwojkę. Rzecz jasna, że łatwiej o taką przyjaźń między mężczyznami. Kobiety są bardziej towarzyskie od mężczyzn i dlatego tak łatwo o nieporozumienia z nimi.

Ponadto kobiety są z zasady altruistkami: nie tylko są gotowe do ofiar, do pełnego oddania lecz wręcz do uległości.

Spółka polega na rozsądnym korzystaniu ze wspólnego interesu. A tam, gdzie chodzi o dwa egoizmy, wspólna jest tylko ich samotność.

Któż zresztą lubi samotność? Albo ten, komu czyjeś towarzystwo dokuczyło, albo ten, który nie potrafi go sobie zdobyć. W jednym i drugim wypadku nie ma podstaw do współżycia. Aby było współżycie — trzeba żywić nienawiść do samotności. Musi też istnieć niemożność pozbycia się jej. To zdarza się u ludzi nie pozbawionych indywidualności. Ludzie mierni żyją stadnie. Osobowość odstrasza mierność i przyciąga inną osobowość. Ideal i przyciąga inną osobowość. Ideal i przyciąga inną osobowość. Ideal i przyciąga inną osobowość.

Przyjaźni to przypadkowa zgodność dwóch osobowości, a więc dwóch indywidualności odrębnych, podobnych — ale zupełnie samotnych. Dwie najbardziej różne miernoty są sobie bliższe, niż dwie nienal zupełnie jednakowe indywidualności.

Nie można być miernym na odległość. To co dalekie — jest inne. To, co inne ma swój osobisty wyraz. Natomiast dwie najsilniejsze nawet indywidualności, żyjące razem, jedna przy drugiej, obustronna szkoda oplacają swe współżycie. Idealem jest bliskość — z zachowaniem dystansu. Do tego służy uczucie szacunku.

Szacunek jest podstawą wzajemnego równouprawnienia. Wzrasta często razem z odległością. Dlatego czasem wojna, dzieląc, powiększa człowieka. Na mniejszą miarę czynią to również podróże, turystyka. Pod warunkiem, że ktoś będzie się samotnie wdzierał na szczyty, a nie ciągle mieszać z szarym tłumem. Chodzenie po szczytach jest niebezpieczne nie dlatego, że można stoczyć się w otchłań z dużej wysokości, ale dlatego, że łatwo tam spotkać się z podobnym sobie alpinistą.

Na szczytach obowiązuje wyższego stopnia solidarność. Nic tak nie łączy, jak brak narzuconych warunków. Wiadomo — przymus jest odpychający. Ale tylko silne charaktery wytrzymują próbę oddalenia. Wznoszą się w górę, jak balonik napęczniony szlachetnym gazem. A wszystkie pionierzy zbiegają się gdzieś u góry w jednym punkcie. Bo tam, gdzie niebezpiecznie — zawiązują się najsilniejsze węzły.

Człowiek z indywidualnością zawsze spotka godnego siebie rywala i przyjaciela. Zwykle dzieje się to ponad głowami tych, których jest za wielu, aby można było o nich powiedzieć, że w ogóle kimś są. W masie jedyną osobowością jest zbiorowisko. Pożera ono nawet tych geniuszy, którzy się w nim znajdują.

Skąd się tam biorą geniusze? Za sprawą bohaterstwa, bo bohaterstwem jest dobrowolne rzucenie się w przepaść. Aby wpaść do kanału, wystarcza być gapiem.

Oddalenie nie może trwać wiecznie. Wieczność nie zna pojęć przestrzennych, a czas mierzy się kolejnością przestrzeni. Jak po wojnie następuje pokój, tak po oddaleniu przychodzi zbliżenie.



Sadzenie lilii

Drzeworyt z „Zielnika polskiego“ z XVI w.

Zadaniem pokoju jest zbliżać ludzi do siebie. Pokój znosi fronty, otwiera granice i ułatwia komunikację. Zbliżając, niweluje przy tym bohaterów do poziomu dobrych ojców i matek. Ale jakże często zdarzy się po wojnie, że się w jednym stadle spotka dwóch bohaterów? Zbliżenie ich nie powinno być zbyt gwałtowne. Bo bohaterowie ciągną za sobą niebezpieczeństwo, jak chmura burze.

Wieleż razy się zdarzy, że żona przerosła męża? Któż wtedy nie będzie żalował straconej przewagi? A któż nie będzie chciał wykorzystywać raz zdobytej samodzielności? Nie wyłącza to bynajmniej wypadku, że wzajemny szacunek jeszcze bardziej zbliży oboje, niczego zadenemu z nich nie ujmuje.

Jeśli przestrzeń tylko rozdziela — czas rozprasza. To, co na odległość nie wzrośnie — przy zbliżeniu się

rozpadnie. Stracone będą przede wszystkim te stadła, w których każda strona roztopiła się w swoim otoczeniu. Zamiast jednego, które nie wytrzymało próby, powstają mogą dwa stadła — niezdolne do żadnych prób.

P.S.

W poprzednim numerze „Ochotniczek“ przeczytałem „Kalafior“. Niby nie list, choć kończy się ukłonami i choć prawie cały jest do mnie, czy do mojej pisaniny skierowany: On, Onego, Onemu... Więc piszę post scriptum zamiast odpowiedzi.

Cóż mam robić? Najlepiej przyznać się. Przedwocipną autorka „Kalafiorów“ ma rację. Mówiłem coś zupełnie innego niż Ona (przez duże O). Moja wina. Powinieniem być wiedzieć i pisać, że kobiety chcą się malować, chodzić do fryzjera i milczeć przy kochanym mężczyźnie.

Nie mniej intryguje mnie bardzo pani czy też raczej panna Aniela. Jej czytelniczki niewątpliwie zauważyły, że musi być weale wymowna. Bo ileż to się nabiegała i napytała, aby nam wygarnąć, jak to właściwie jest, jaka właściwie jest kobieta, która chce się podobać mężczyźnie. Stąd się bierze moje przypuszczenie co do stanu cywilnego panny Anieli. Zrobiła całą ankietę socjologiczną. A nie żaden „wihajster — Kilimandżaro“.

Zresztą wszystko w porządku, dopóki nikt nie wymaga od nikogo konsekwencji. Dopóki w ogóle nikt niczego nie wymaga i nawet nie wspomina się o male przemoczeniu czy niedopatrzaniu, prawie insynuacje — że mądre kobiety nie grają roli w moim potocznym życiu. Skoro jednak felieton poświęcony był ich twarzom, nie dziwnego, że się same o to rzekome przemoczenie nie upominają. Bo im właśnie wojna przywróciła własną twarz. A przez własną twarz nie należy rozumieć bynajmniej nie mytą, nie uczesaną, nie popudrowaną — troszeczkę. No i wygadana, ciągle otwarta.

Zresztą, co tu mówić o mądrych, jeśli nawet o brzydkich nie zapomniano, mówiąc, że przez wyrazistość stają się piękne. Słowo daje, że było to powiedziane. Ale przecież nie będziemy cytować, powtarzać, znów aż do... ankiety doprowadzać.

Wolę przypuścić, że p. Aniela zawsze miała własną twarz i dlatego tak ją oburzyło postawione pytanie. Gdybym umiał rysować, pokazałbym nawet jej wyimaginowany portret: coś pośredniego między grecką maską a chimera na Notre Dame...

(Dopisku tego On nie mógł do końca, bo mu w tym momencie zniemacka spadł na głowę — rodo-dendron. Przep. Redakcji).

A GDYBY TAK O JASIU I KASI?

Jesteśmy już poza Ojczyznę przez długich siedem lat. — Siedem lat — jak w owym śnie, który Józef tłumaczył Faraonowi. W wędrówce od Szachrizabsów, przez Bagdad, Jerozolimę do włoskich jezior, czy do francuskiej Rivieri, otaczał nas zawsze nadmiar obcego piękna. A razem z tym obcym pięknem rósł w sercu coraz bardziej żrący głód swojskiego krajobrazu... Tak by się chciało przypaść do tej ziemi, jedynej, najpiękniejszej, by czerpać z niej siłę i ukojenie.

Cóż może zastąpić jej bliskość? Co może żywiej jej głosem przemówić? Pieśń — nasza ludowa pieśń!

Nie słychać jej jakoś w 2. Korpusie. Nie ma zespołów chórnych. Raz tylko Teatr Dramatyczny dał nam się cieszyć widowiskiem ludowym, którego zapomnieć nie można: „Wesele Śląskie“ Ligonia, z całym bogactwem melodii, powagą i dostojenstwem starodawnego obrzędu. Ale dlaczego w Czołówkach 2. Korpusu Anglikom, Włochom i naszym chłopcom, pokazuje się przeważnie groteski, gdzie chłop jest zawsze rozczochranym durniem na pijanych nogach? Gospodarskim synom, którzy na to patrzą, musi być wstyd i żal, że nigdy na scenie inaczej i świąt swojej nie widzą. Tej wsi, w której chłop, umiłowaniem własnego kawałka ziemi, przetłumie próby kolektywizacji, który z przywiązania do religii i obyczaju nie podda się bezbożnictwu i bolszewizmowi.

Kilka lat przed wojną Andrzej Cierniak wprowadził w swoim Teatrze Ludowym na scenę, zarzucone już przez urbanizującą się wies, obrzędy dożynkowe, jasełkowe i weselne. Tę samą myśl podjął i na wielką skalę zaczął opracowywać świątynny reżyser teatrów T.K.K.T. — Szyller. Wystawił „Pastorałkę“ a w przygotowaniu miał „Obrzędy Weselne“. Teraz na terenie Niemiec stworzył podobno zespół teatralny, idąc w tym samym kierunku. A 2. Korpus? Były wprawdzie tu i tam organizowane piękne ogniska dywi



Z. Stryjeńska: „Tańce polskie“ — „Góralski“

zyczne, gdzie mimo trudności kostiumowych podziwiać można było n.p. piękną inscenizację obrzędu „Marzanny“. Ale w Czołówkach było tego za mało. Dla naszych dziewcząt i chłopców ze wsi wprowadzenie takich widowisk byłoby, jak pozdrowienie od matki, siostry, czy ukochanej dziewczyny, dla tych

zaś, co polskiej pieśni ludowej nie znają, byłoby ukazaniem nieznanego im świata, pięknego w treści, interesującego w formie, a ciekawego w melodii.

A więc może by tak o Jasiu i Kasi?

MARYNA CHWALIBÓG

KALINA W LESIE

Kalina w lesie
pochyliła się,
Kasię z Jasiękiem
pogniewała się.

Przyjechał w nocy,
kolo północy.
Stuk, puk w okieneczko.
Otworzyła oczy.

Kalina w lesie
pochyliła się —
Kasię z Jasiękiem
przeprósila się.

— Wstawaj ma mila
napój mi konia!
— Nie będę poita
Nie twojam żona.

— Choćes nie żonka,
ales kochanka,
napój mi konia,
mego kasztanka.

O OSTATNIM TANCU JANOSIKA

— Luptowscy ponkowie, prose wos trzeci roz,
Ej, dejcie mi tyz zbojnickiego zatończyć jeste roz!
Oni mu tyz dali, jeste mu kazali,
Ej, oni mu tyz zbojnickiego zatończyć kazali.
Janosik tońcuje! Głuchon mu ułoruje.
Ej, a śmierzeczka wedle niego drobniuczo borkuje...

Co się stało Boze w bardyjowskim dworze?
Ej, ułapili Janosika, z dziwczynom w kumorzle!
Kiej go ułapili zaroz go zwionzali,
Ej, i do miasta Mikulasia zaroz odestali.
Luptowscy ponkowie bardzok sie cieszyli:
— Ej, witoj ptosku Janosiku! Juzemy cie zlapili!
— Luptowscy ponkowie, prose wos pinusy roz:
Ej, dejcie mi tyz kochanecke pozegnoć jeste roz!
Ej, oni mu nie dali, bo sie obawiali...
Ej, oni mu tyz kochanecki pozegnoć nie dali!
— Luptowscy ponkowie, prose wos drugi roz:
Ej, dejcie mi tyz ciupazecke do rucki jeste roz!
Oni mu nie dali, bo sie obawiali.
Ej, oni mu tyz ciupazecki do rucki nie dali!

Uwaga: a) Luptowscy pankowie — strażnicy węgierscy z Luptowa, którzy wedle podania zlapali Janosika, zbojckiego hetmana.
b) Głuchon — duch, przypomnienie nadchodzącej śmierci.
c) Śmierzeczka — śmierć w gwarze góralskiej.



Wóz kantyny na postoju

(fot. Michalski)

ZMOTORYZOWANE MARKIETANKI

Słowo „kantyna” pochodzi z francuskiego „cantine”, co według słownika oznacza jadłodajnię żołnierską. Ale słowo „jadłodajnia” nie oddaje pełnej treści pojęcia „kantyna”, jeżeli chodzi o nasze Kantyny Polowe. Zadaniem naszych Kantyn Polowych jest bowiem nie tylko dostarczanie żołnierzowi uzupełnienia do zaopatrzenia wojkowego, nie tylko dostarczanie mu książek i pism, ale zastąpienie mu na obczyźnie choć w małej części domu rodzinnego. Kantyniarka, w ciągu trzyletniego istnienia kanton w wojsku, była więc jednocześnie świetliczką i siostrą żołnierza.

Kantyny powstały na Wschodzie i, wbrew licznym zastrzeżeniom, weszły z 2. Korpusem do akcji na froncie włoskim. Poprzez Sangro i Monte Cassino, od Pascary aż do Bolonii szły wytrwale z wojskiem te „zmotoryzowane markietanki”, po to, żeby nie raz w zasięgu ognia dostarczyć żołnierzowi orzeźwia-

jących napojów, owoców i nawet przysmaków. Wóz Kantyny był na pozycjach zawsze witany z entuzjazmem. Gdy oddział szedł na odpoczynek, znów wóz Kantyny zjawiał się, przystawał pod jakimś murem lub namiotem. Z wozu wyciągano stoliki, stołki, serwetki, wazoniki, kwiaty i powstawała tak „kawiarnia” w ogródku, albo pod dachem.

Kiedy zakończyły się działania wojenne, Kantyny Polowe nie wyszły z „akcji”. Praca kanton nie tylko nie zmalała, ale wzrosła. Przydzielone do poszczególnych oddziałów, rozsypane po całym „buciu włoskim”, obsługują teraz wszystkie oddziały 2. Korpusu. Praca kanton jest tak pomysłana, żeby niemal każdy żołnierz Korpusu mógł z kantonem korzystać. W chwili zakończenia działań wojennych było kanton 14, obecnie jest ich 19.

Kantyny są samowystarczalne, to znaczy zaopatrują się w prowiant same, a kantyniarka jest

równocześnie kierowczynią i mechanikiem. Kantyny we własnym zakresie obsługują swój transport i same konserwują wozy. Głównym ośrodkiem zaopatrywania kanton jest Hurtownia Kanton Polowych. Jednak te kantyny, które znajdują się daleko od centrali, zaopatrują się w prowiant we własnym zakresie w miejscowych Składowcach Zaopatrzenia. Kantyny obsługują zresztą nie tylko oddziały, stacjonujące na miejscu, ale dojeżdżają także do oddziałów położonych dalej, oraz do oddziałów pełniących służbę wartowniczą. „Obsłużyć każdego żołnierza” — to zasada, na której Kantyny Polowe budują plan i organizację swojej pracy.

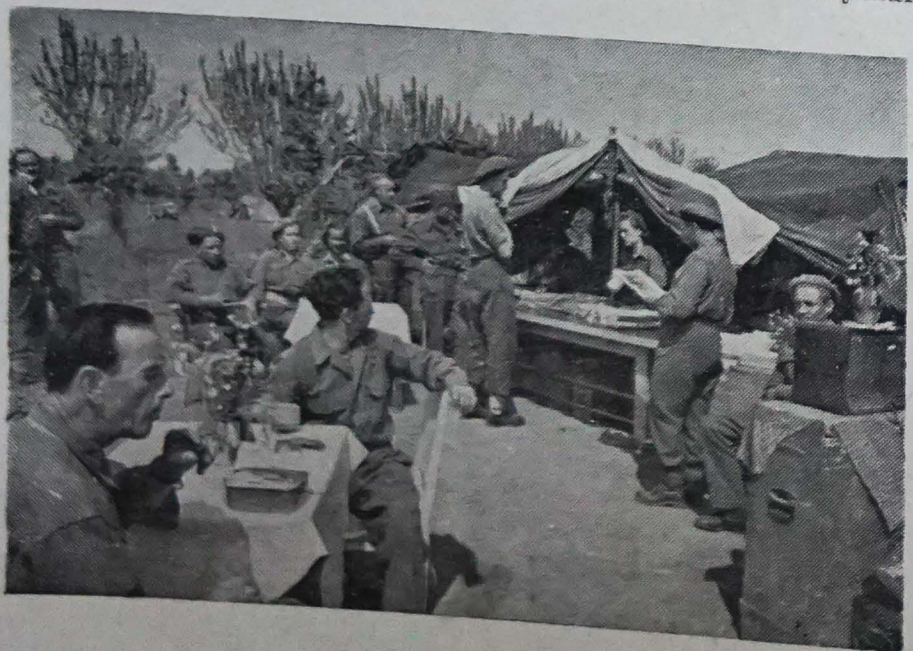
Po trzech latach pracy, Kantyny Polowe zdobyły dużą rutynę i poznały swoją klientelę na wylot. W niejednej przecież były z nią potrzebne: i w natarciu, i w obronie, w pościgu i na postoju. Kantyniarki wiedzą już doskonale, jak z kim mówić, jak kogo obsłużyć. Ale początki pracy nie były zbyt łatwe. Miały też kantyniarki dużą tremę po przyjeździe do Włoch. Kiedy zapytano pewną kantyniarkę, czego się najbardziej boi: ognia artylerii, czy też nalołów nieprzyjacielskich — odpowiedziała, że największym lękiem przejmują ją to, jak się klientela żołnierska ustosunkuje do kanton.

Bywały też różne kategorie klientów. Pierwsza i najlepsza kategoria — to przyjaciele kanton. Przychodzili na postojach z harmonią i z piosenką i zawsze im wszystko smakowało. Nawet kiedy czasem kawa zalatywała benzyną. Druga kategoria — to obojętni. Przyszli, zjedli ciastka, kanapki, wypili kawę, albo kakao i, nie mówiąc ani słowa, odchodzili. Trzecia i najgorsza kategoria to — grymaśni. Tym to nigdy nie można było dogodzić. Kanapki nie smaczne, kawa gorzka, kantyna za późno otwarta, za wcześnie zamknięta, zbyt długo trzeba czekać, zbyt wolno się wydaje... Tak klient dla kantyniarki, to jak ból zęba.

Ale wyglądało się to. Klienci z grupy grymaśnych przechodzili do obojętnych, a z grupy obojętnych do przyjaciół. Po trzech latach pracy trzeba stwierdzić, że ostatnie dwie grupy prawie całkiem znikły. Zostali prawie tylko sami przyjaciele.

Kantyny Polowe prowadzą obecnie bardzo obszerną korespondencję. Piszą do Kanton dawni przyjaciele, ranni i inwalidzi. Piszą z Egiptu, z Anglii, ze Szkocji i z Afryki. I to jest sowita nagroda za pracę: pamięć koleżeńska.

Teraz, kiedy zmieniamy m. p., to znaczy opuszczamy Włochy, Kantyny Polowe będą jeszcze długo potrzebne żołnierzowi, w jakichkolwiek mu przyjdzie żyć warunkach. Kantyny, tam gdzie się zjawia, będą zawsze dla niego domem, bo nie tylko przywożą artykuły spożywcze, ale i pogodę i namów uśmiech, choćby było i smutno...
I. SADEK



Kantyna Polowa w okresie walk o Bolonię

(fot. Hryniewicz)

KRONIKA

ODWIEDZINY POLSKICH
SOCJALISTÓW Z FRANCJI
W 2. KORPUSIE

W maju br. bawiła na terenie Korpusu i Bazy Delegacja 13 robotników, członków P. P. S. z Francji. Goście serdecznie podejmowani zwiedzali ośrodki wojskowe i cywilne, interesując się żywo wszystkim, co wchodzi w ramy życia 2. Korpusu. Między innymi odwiedzili też 316 Kompanię Transportową P. S. K. i Gimnazjum i Liceum P. S. K., w San Giorgio. Dowodem miłych wrażeń z doznanej gościnności jest list Delegatów P. P. S. przesłany na ręce Inspektorki Wysłouchowej, z Nicei w chwili przekroczenia granicy Włoch:

Wielce Szanowna Pani Inspektorko! Uczestnicy Delegacji Robotniczej z Francji zasyłamy serdeczne pozdrowienia Pani i ochotniczkom P. S. K., które tak wiele wykazały poświęcenia w swej twardej służbie żołnierskiej. Prosimy Panią o przesłanie ochotniczkom naszej o nich pamięci i ponawiamy prośbę o przesłanie do nas wycieczki ochotniczek.

Łączymy wyrazy głębokiego szacunku i poważania
Nicea, dnia 23. 5. 1946.

SZTANDAR DLA „DZIECI LWOWSKICH”

W drugą rocznicę bitwy o Piedimonte 25. 5. 1946 roku na lotnisku koło Loreto odbyła się uroczystość wręczenia sztandaru 6 Pułkowi Pancernemu „Dzieci Lwowskich”, ofiarowanego przez Centralny Związek Polaków we Francji. Do Związku tego należą wszystkie organizacje polskie we Francji, stojące na gruncie całości i niepodległości Rzeczypospolitej polskiej. Sztandar wyhaftowały kobiety polskie we Francji.

Na uroczystość przybył Zastępca Dowódcy Korpusu gen. Bohusz Szyszko, Dowódca 2, 5 i 3 Dywizji, Inspektorka P. S. K., Dowódca Pułków oraz Delegaci Centralnego Związku Polaków we Francji z prezesem P. Baranem na czele. Rodzicami chrześnymi byli — płk. Wysłouchowa, Inspektorka P. S. K. w zastępstwie delegatki z Francji i prezes P. Baran. Po wręczeniu sztandaru Zastępcy Dowódcy Korpusu przez delegatów z Francji przemówił gen. Bohusz Szyszko i wręczył sztandar Dowódcy Pułku. Potem nastąpiła defilada sztandaru przed Pułkiem i defilada Pułku ze sprzętem przed Zastępcą Dowódcy Korpusu.

6 Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich” powstał 7. 10. 1941 na terenie Z. S. R. R. w Tockoje w ramach 6 Dywizji Piechoty. Potem przez Środkowy Wschód przeszedł do Włoch, dokąd przybył 12. 4. 1944 roku. Pierwszą bitwę stoczył Pułk pod Piedimonte, gdzie w sześciu dniach ciężkich zmaganiach z nieprzyjacielem, stawiającym zacięty opór, otrzymał swój chrzest krwi i ognia. Ofiarowanie przez Polonię francuską sztandaru „Dzieciom Lwowskim” ma swoją szczególną wymowę.



(fot. Michalski)

Wizyta Delegatów PPS z Francji w Gimnazjum i Liceum PSK w S. Giorgio

UROCZYSTE SŁUBOWANIE MATCE BOSKIEJ, OPIEKUNCE POLSKIEJ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

Dziesięć lat temu, 24 maja 1936 r. Młodzież Akademicka z całej Polski powzięła solenną decyzję obrania sobie Matki Najświętszej za Opiekunkę Młodzieży Akademickiej. W tym celu, studenci ze wszystkich stron Polski zgromadzili się w Częstochowie, u stóp Cudownego Obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej, ślubując Jej wierność i postępowanie w myśl zasad wiary katolickiej. Ta uroczystość stała się tradycją Młodzieży Akademickiej. Co roku, w tym samym dniu, studenci zjeżdżali się na Jasnej Górze, powtarzając ślubowanie. Okupacja niemiecka w Polsce uniemożliwiła całkowicie wszelkiego rodzaju manifestacje religijne i narodowe. Dziś, choć wojna jest skończona, Kraj nasz nie posiada swobody wypowiedzenia swoich uczuć i myśli. Wierząc tradycję Jasnogórskiej, studenci Polacy 2. Korpusu w Bolonii, zebrali się w dniu 24 maja 1946 r. w małym kościółku na Via d' Anzio, gdzie została odprawiona przez Ks. Kapłana Ośrodka Akademickiego, uroczysta Msza św. Przy końcu Mszy św. wszyscy studenci, przenosząc się myślami do Ojczyzny, złożyli ślubowanie Najświętszej Marii Pannie — Królowej Korony Polskiej.

S. J. MELIS

P. C. K. NA RZECZ DZIECI POLSKICH

Polski Czerwony Krzyż (Okręg Barletta-Trani) wydał własnym nakładem obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej na tle Białego Orła z następującą starą, żołnierską modlitwą:

Bądź pozdrowiona Panno, Matko Boga,
Ciebie prosimy wspomóż zwalczyć wroga.
Ocal nam Polskę w tym srogim frasunku.
Niechaj znów dozna Twój ratunku.
Przyczyni się, Panno, niech z Twojej obrony
Zbawienie będzie dla Polkiej Korony.

Obrazek wydany został w maju 1946 roku i z pewnością znajdzie się w rękach każdego żołnierza 2. Korpusu i każdego Polaka za granicą. Obrazek rozsprzedawany jest na rzecz opieki nad dziećmi polskimi. Cena 15 lirów. Punkty sprzedaży obrazka w Rzymie są następujące: P. C. K., via V. Venetto 62, Świetlica P. C. K., Dom Żołnierza Polskiego, punkt sprzedaży pism i książek polskich w hotelu Massimo d'Azeglio — via Cavour 18, oraz we wszystkich m. p. 2 Korpusu we Włoszech.

PIĘKNE WYDAWNICTWO POLSKIE WE WŁOSZACH

W Rzymie ukazało się piękne wydawnictwo: Album rysunków i miniatur (Kazimiera Dąbrowska. Pius XII. Editore K. Breiter, Roma 1946.) Album prac polskiej artystki ukazał się w wytwornej szacie graficznej nakładem polskiego wydawcy K. Breitera. Zajnteruje czytelników wzmianka, że Kazimiera Dąbrowska wykonała również miniaturę matki Piusa XII. Miniatura ta znajduje się zawsze w pokoju Ojca Świętego.

SPROSTOWANIE

W majowym numerze „Ochotniczki”, w artykule „Nafta i węgiel z roślin zielonych”, na skutek pomyłki korektorskiej wyraz „materiał” zamieniono na „minerał”. Autor artykułu inż. Włodzimierz Jegorow prosi o sprostowanie tego zasadniczego błędu, z którego wynika, że — minerał... „posiada hydraty węgla: mączkę, różne cukry, białko roślinne i celulozę”. — Oczywiście — żaden minerał nie może posiadać tych charakterystycznych związków organicznych.

CZYTAJCIE

„OCHOTNICZKĘ”!

LISTY DO REDAKCJI

W ZWIĄZKU Z ARTYKULEM
„KOBIETY W POWSTANIU”

Przeczytałam przed chwilą artykuł Wł. Nałęczą pt. „Kobiety w Powstaniu”. Ponieważ jest tam także mowa o mnie (Pączek), czuję się w obowiązku sprostować pewne dane.

Otóż w Powstaniu miałam lat 16, nie 17, jak podano. Nie pochodzę z rodziny rzemieślniczej; (bardzo mi przykro...) ojciec mój był handlowcem. Ten szczegół zresztą jest zupełnie nie ważny. Ważne jest to, że — od r. 1942, będąc w harc, bat. „Zoska” plut. panc. (jako „człowiek poza wiedzą d-cy bat.” z powodu wieku — miałam wtedy lat czternaście) — otrzymałam wykształcenie instr. sabotażu i ogólnie wojskowe, oraz spec. panc. — należąc w tym czasie do Z.H.P. W kolporterce byłam zaledwie cztery do pięciu dni: sprzedawałam bibułę, jako dodatek nadzwyczajny. Do kolporterki włączono mnie na kilka dni przed Powstaniem, gdyż byłam „zasypana” (ze strony swego plut. panc.) i nie mogłam utrzymywać łączności. Moim d-cą w konspiracji był „Michał” (d-ca plutonu).

W czasie Powstania zgłosiłam się na ochotnika do oddziału osi. W.Z.W. jako łączniczka liniowa, później weszłam do drużyny Jędrka B. (kpr. podch. „Marek”), otrzymując „Byskawicę” (p.m.) i granaty, bo znałam bron.

Na gmachu PAST-y nie byłam w ogóle. Byłam wtedy z chłopakami na Woli. Sekcją nie dowodziłam. W akcji na Komendę Policji dowodził nie płk. Radwan, ale mjr. „Wola” i on to przedstawił mnie do K.W. Kaprala dostałam przez gen. Bora (na specjalnie przedstawienie płk. Radwana) po tej akcji.

Jesli mogłam w Powstaniu walczyć to tylko dzięki przygotowaniu i wykszoleniu, jakie otrzymałam w bat. „Zoska” i od ojca, który był moim pierwszym i najlepszym dowódcą, a także dzięki kolegom-przyjaciołom z drużyny, Jędrkowi B., Krzyskowi, Adamowi i tym, którzy polegli, zawdzięczam to, że żyję i — uczę się!

Uważam, że niczym nie zasługuję na wyróżnienie spośród tysięcy żołnierzy A.K. Chętnie powiedziałabym osobiście koleźce Nałęczowi, jak mi przykro, iż dziwnym zrządzeniem losu dowiedział się o moim istnieniu.

Czołem!

PLUT. „PĄCZEK”

PISZA DO NAS Z AUSTRALII

Wielce szanowna pani Redaktorko!

Z nadesłanego nam uprzejmie numeru 1 (28) „Ochotniczki” ze stycznia 1946 z kalendarzem ściennym, z wielką radością dowiedzieliśmy się o ich świetnej pracy dla dobra Macierzy Polskiej i czynnego udziału w walce o wolność i całkowitą niezależność Ojczyzny, jak i na polu społecznym. W imieniu Kolonii Polskiej Związku Narodowego Polaków w Queensland, mamy zaszczyt wyrazić niniejszym swe najserdeczniejsze uznanie 2. Korpusowi Polskich Sił Zbrojnych walcząc mu na śmierć i życie z iście najokrutniejszymi wrogami Polski i świata, dążącymi jawnie do uciemnienia całej ludzkości. Niezmiernie cieszymy się, iż niewiasty „najjaśniejszej Rzeczypospolitej” znowu wykazały światu swą patriotyczną pracę na każdym odcinku walki ze złem, a o sprawiedli-

wść dla Polski przede wszystkim o dobroć i trwałą pokój świata, poświęcając się tak szlachetnie i mężnie.

Niech Pan Bóg zachowa Panie jak najdłużej w najlepszym zdrowiu, bo Polska szczególnie dziś potrzebuje takich kobiet, jak Panie — ludzi czynu.

Mamy zaszczyt kreślić się jako Wam wszystkim całym sercem oddani pokorni słudzy.

Prezes K. P. Z. N. P. w Queensland
Z. K. Romaszkielowa

5 maja, 1946
Queensland, Australia

NOWE KSIĄŻKI

WYDAWNICTWA „BIBLIOTEKI
ORLA BIAŁEGO”

W odmęcie walki — J. Kielewicz — cena za egz. 90 lirów.

Spokojne życie — Ada Halpern — cena za egz. 80 lirów.

Słownik włosko - polski — Gianini — cena za egz. 350 lirów.
Czy może myliczyć na Amerykę — Bregman — cena za egz. 80 lirów.

Jest nas 115 milionów — Plutyński — cena za egz. 130 lirów.

WYDAWNICTWA POLSKIEJ
Y. M. C. A.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną — Juljusz Słowacki — cena 100 lirów.

Klątwa, Sędziowie, Warszawianka — St. Wyspiański — cena 130 lirów.

Falk, Amy Foster, Jutro — J. Conrad — cena 120 lirów.

Młode pokolenie chłopców, tom pierwszy — cena 150 lirów.

TREŚĆ NUMERU:

- | | | |
|---|------------------------------------|---------------------|
| 1. Orędzie Prezydenta R. P. | 12. Jasyr | Melchior Wańkiewicz |
| 2. Oświadczenie Bządu R. P. | 13. „Hej chłopcy, bagnet na broń!” | Wanda Heblewska |
| 3. Rozkaz Dowódcy 2 Korpusu | 14. Jeszcze o Grenadierze | pchor. „Śliwka,” |
| 4. Deklaracja Żołnierzy 2 Korpusu | 15. Do Muzy, Obłoki | Tadeusz Sułkowski |
| 5. Wobec nowej rzeczywistości | 16. Buty dla Stasia | Wiesław Wohnout |
| 6. Targ o Niemcy | 17. Nikt nie krzychał | Zofia Wańkiewiczowa |
| 7. Pielgrzym | 18. Powitania | Zofia Małagowska |
| 8. Wielkie nieporozumienie | 19. Już teraz | St. Kuszelewski |
| 9. „Ofensywa pokojowa” | 20. Nasi najmłodszy w Afryce | Wiktor Ostrowski |
| 10. Ballada o powrocie, Wiosna | 21. Bez kropki nad I | On |
| 11. W dniu Władysława | 22. A gdyby tak o Jasiu i Kasi | Maryna Chwałibóg |
| 12. Spółdzielczość w budowaniu przyszłej Polski | 23. Zmotoryzowane markietanki | J. Sadek |
| | 24. Kronika | |
| | 25. Listy do Redakcji | |

WŁOCHY, 1946 r.

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu
Redaktorka Naczelna: dr Herminia Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62

„Ochotniczkę” nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P.S.K., w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach